

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

Arch. Emigracji

940791

877

Dwadzieścia Dni Kozy

Farsa w Trzech Aktach



M. HENNEGUIN i P. WEBERA

Z francuskiego

Nakładem W. H. SAJEWSKI

1017 MILWAUKEE AVE.
CHICAGO, ILL.

AE 31

Dwadzieścia Dni Kozy

Farsa w Trzech Aktach

M. HENNEGUIN i P. WEBERA

Z francuskiego

Przerobił R. F. LESSEL

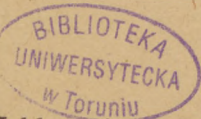
Nakładem W. H. SAJEWSKI

1017 MILWAUKEE AVE.

CHICAGO, ILL.

OSOBY:

Henryk hrabia Marecki,
Zofja jego żona
Pani Krajecka jej matka
Walentyna Mazanowska
Ludwika, siostra Mareckiego
Hilary Partyński
Józef Gwiżdż
Stefan Mądrzycki, prezes sądu
Albert Łacki, narzeczony Ludwiki
Stanisław Krzywicki, adwokat
Franciszek służący,
Różia służąca
Kulik włóczęga.



Rzecz dzieje się w Jabłonnej pod Warszawą.
Akt 2 i 3 w Warszawie.

AE940791

K. 157/07

AKT PIERWSZY

Bardzo elegancki salon. Na prawo skośny róg, główne wejście, w głębi okno - po lewej w głębi drzwi wychodzące na ogród. Dwoje drzwi na lewo. Na prawo kominek, stół, na lewo kانا.

SCENA PIERWSZA

ZOFIA, potem FRANCISZEK. Za podniesieniem kutyny scena jest pusta. Wchodzi ZOFIA kieruje się ku stołowi i szuka czegoś, wchodzi FRANCISZEK.

ZOFIA (z lewej): Franciszku, gdzie są gazety?

FRANCISZEK (z prawej): Nie wiem, proszę pani.

ZOFIA: Gdzież je położył?

FRANCISZEK: Jak zwykle na stole.

ZOFIA: Niema ich tu.

FRANCISZEK: Może je wziął pan hrabia.

ZOFIA: Pan powiada, że ich wcale nie widział.

FRANCISZEK: W takim razie pani je zabrała.

ZOFIA: Moja matka nie zeszła jeszcze z góry.

FRANCISZEK: A może siostra pana.

ZOFIA: Panna Ludwika nie czytuje gazet.

FRANCISZEK: Ma rację.

ZOFIA: Musisz przyznać, że to bardzo dziwne. Odkąd tu jesteśmy, nie mogę nigdy znaleźć żadnego dziennika.

FRANCISZEK: Ani ja. Formalnie giną.

ZOFIA: A skoro się o nie zapytam, nikt nie widział.

FRANCISZEK: Pani hrabina nie posądza mnie chyba?

ZOFIA: Wszystko jedno. Idź na kolej kupić mi gazetę.

FRANCISZEK: Dobrze, proszę pani. (Albert ukazuje się w drzwiach w głębi na prawo z bukietem róż) Ach, pan Łacki. (Franciszek wychodzi).

SCENA DRUGA

Zofia, Albert potem Ludwika.

ALBERT (jest bardzo nieśmiały): Oh, przepraszam.

ZOFIA: Wejdźże pan, panie Albercie, Proszę.

ALBERT: Dzień dobry pani... jestem zawstydzony.

ZOFIA: Czem?

ALBERT: Ni... niczem.

ZOFIA: Ah jakie piękne róże, prześliczne.

ALBERT: Robię co mogę.

ZOFIA: To dla mnie?

ALBERT: Mój Boże... tak... w zasadzie...
(podaje jej bukiet)

ZOFIA (śmiejąc się): Dlaczego masz pan taką zażenowaną i nieszczęśliwą minę?

ALBERT: Wcale nie...

ZOFIA: Przeciwnie. - Mój biedny Łacki, trzeba było powiedzieć odrazu - "te kwiaty są dla Ludwiki, mojej narzeczonej"

ALBERT: Zgadła pani.

ZOFIA: Człowiek wtedy tylko śmiesznie wygląda niosąc kwiaty, kiedy jest zakochanym.

ALBERT: Albo ogrodnikiem.

ZOFIA: Każę powiedzieć mojej szwagierce, że pan przyszedł.

ALBERT: Oh... Zdaje mi się, że mnie widziała z okna.

ZOFIA: Oczekiwała pańskiego przybycia? Otóż i ona. (wchodzi Ludwika z prawej).

LUDWIKA: Dzień dobry Albercie. Dawno przyszedłeś?

ZOFJA (śmiejąc się): No uciskajcie się, moje dzieci, nie krępujcie się mną.

ALBERT: Oh pani, nie ośmielę się nigdy.

LUDWIKA: To ja się ośmielę.

ZOFIA: Chwała Bogu.

LUDWIKA (nadstawia policzek. Albert całuje ją pokazuje kwiaty): To dla mnie?

ALBERT: Naturalnie. Co za domyślność.

ZOFIA: Słuchajcie, zanim wyjdziecie do ogrodu, wartoby pomówić na serjo. Kiedy ma się odbyć wasz ślub?

LUDWIKA (wstawia bukiet do wazonu na kominku): Brat mówił, że w sierpniu.

ZOFIA: Zatem jeszcze trzy tygodnie cierpliwości?

ALBERT (siada): Trzy długie tygodnie.

ZOFIA: Zobaczycie, jak prędko to zleci, formalności, przygotowania... A świadków upatrzyliście już sobie?

LUDWIKA (siada): Myślałam o twoim mężu, ale ponieważ to mój brat i opiekun, poprowadzi mnie tylko do kościoła. Tam wybiorę sobie z pomiędzy najserdeczniejszych przyjaciółek dwie stare panny, będą się wściekały.

ZOFIA: A ty Albercie?

ALBERT: Ja mam wuja i jednego z moich kuzynów, który jest urzędnikiem w Warszawie. Znaczna figura. Napiszę do nich z zawiadomieniem o ślubie.

ZOFIA: Należy się pośpieszyć.

SCENA TRZECIA

Ciż, pani Krajecka (wchodzi z lewej)

KRAJECKA: Ah moje dzieci. Już nie mogę. Dzień dobry panie Łacki. Dziesiąty kufer pakuję.

ALBERT: Pani odjeżdża?

ZOFIA: Matka moja jedzie w odwiedziny do znajomych, do państwa Przyjemskich w Krakowie.

KRAJECKA: Mój zięć nie będzie się gniewał, skoro nareszcie pojedę sobie. Cztery tygodnie siedzę mu na karku.

ZOFIA: Niesprawiedliwą jesteś mammo. Henryk cię uwielbia. Powtarza mi nieustannie, że dlatego tylko ze mną się ożenił, żeby mógł cię mieć za teściową.

KRAJECKA: Henryk jest jedyny chłopiec. To nie zięć, to syn. Z tem wszystkim tam jechać muszę.

LUDWIKA (podchodzi do niej): Ale za trzy tygodnie przyjedzie pani na mój ślub?

KRAJECKA: Bądź spokojną moje dziecko, nie opóźnię się. Obstałowałam sobie już nawet toaletę, nie zbyt jasną, bo w moim wieku...

LUDWIKA: Oh, w pani wieku.

ZOFIA: Henryk wczoraj jeszcze mówił do

mnie "Zuch ta twoja matka. Od przeszłego roku znów cały rok jej ubył".

KRAJECKA: Pochlebca z tego mego zięcia, ale jakże on się ma dziś, ten poczciwy Henryk?

ALBERT: Czyżby pan Marecki był chory?

ZOFIA: Niby nie, ale niesłuchanie nerwo-
wy. Od jakiegoś czasu mało sypia, a jeżeli śpi,
gada głośno, nie jada prawie. Najmniejszy
opór wprowadza go w niemożliwy stan. On co
był zawsze taki wesoły, taki równy, stał się
ponurym, niespokojnym, popędliwym.

KRAJECKA: To choroba nerwowa.

ZOFIA: Usuwa się od towarzystwa, nie
rozmawia z nikim.

KRAJECKA: Choroba nerwów.

ZOFIA: Całemi godzinami zamyka się tyl-
ko ze swoim przyjacielem Krzywickim.

KRAJECKA: Choroba nerwów.

ALBERT: Co to jest nerwoza?

KRAJECKA: Nie wiesz? to modna choro-
ba ludzi, którzy nie wiedzą czego chcą.

ALBERT: Czy to bardzo groźne?

KRAJECKA: Jest to w każdym razie cho-
roba bardzo dystygowana i ma ogromne po-
wodzenie. Naprzykład, twoja przyjaciółka

Walentyna Mazanowska, ta gdyby dostała
nerwozy, nie dziwiłoby to mnie wcale.

ZOFIA: Ona musi się nudzić śmiertelnie.
Jest wiecznie sama, jej mąż 9 miesięcy w roku
siedzi w Zabłotowie w swoich kuźniach.

GŁOS HENRYKA (za sceną): Milion dja-
błów, dość tego. Doprowadzasz mnie do osta-
teczności. (wszyscy patrzą na siebie)

ZOFIA: Boże. Henryk gniewa się na słu-
żącą.

SCENA CZWARTA

Ciż i Henryk (wchodzi).

HENRYK (bardzo zdenerwowany z lewej)
Dzień dobry mamie.

ZOFIA: Co Różia zrobiła?

HENRYK: Wyobraź sobie, czyszcząc ak-
warium włożyła złotą rybkę do mojego kubka
od zębów, o mało jej nie połknąłem.

ZOFIA: Służącej?

HENRYK: Nie, rybki. To nie do darowa-
nia, słowo daje.

KRAJECKA: Żle się czujesz?

HENRYK: Przeciwnie, czuję się dobrze.

KRAJECKA: Ale jesteś wyczerpany.

HENRYK: Czem? nic nie robię.

KRAJECKA: Nadmiarem myśli. Za wiele
myślisz.

HENRYK: Mama drwi ze mnie.

KRAJECKA: Wiem co mówię. Na twojem miejscu inaczej szanowałabym zdrowie. Trzeba pójść do doktora, bo się jest poważnie chorym.

ZOFIA (przymilająco): Powinniśmy gdzie wyjechać, zmiana powietrza dobrzeby ci zrobiła.

HENRYK: Ależ moi drodzy, dla waszej przyjemności nie mogę się leczyć, jestem tylko nerwowy, ale zdrowy.

ZOFIA: Nerwowy i niespokojny.

HENRYK (zmieszany): Niespokojny? Dlaczego miałbym być niespokojny?

ZOFIA: Nie wiem, ale nie jesteś ten, co zawsze. Może mnie masz co do zarzucenia?

HENRYK: Cóż znowu? (całuje ją) Jesteś najsłodsza, najmilsza z żon. Nie podobna wymarzyć sobie lepszej.

KRAJECKA: Łacki patrz i bierz przykład.

HENRYK: Tak, mój Albercie. Kochać swoją żonę to rzecz o wiele trudniejsza, niż sobie wyobrażasz, to sztuka cała, której się trzeba uczyć. Ja próżniak z powołania, znalazłem wreszcie zajęcie, które wypełnia mi życie, to jest szczęście mojej żony. I jeżeli uda mi się zbudować je, śmiało będę mógł powiedzieć że

stworzyłem dzieło zarówno piękne, jak piękny obraz, lub rzeźbę.

ZOFIA: Drogi mężu, jak ja ciebie Kocham. (całuje go).

LUDWIKA (do Alberta): Słyszałeś? musisz zbudować mi szczęście podobne do szczęścia mojej siostry.

ALBERT: Szwagrze, może dasz mi receptę.

HENRYK: Bardzo prosta, być wiernym, nie zdradzać żony, nawet myślą nie mieć sobie nic do wyrzucenia. Oto recepta. A teraz wracam wam wolność.

KRAJECKA: Słyszeliście?

LUDWIKA: Chodź, Albercie. Rozwinę przed tobą moje zapatrywania na tym punkcie.

ALBERT: Rozwijamy je, moja najdroższa, rozwijamy. (wychodzą na ogród)

ZOFIA: Jak ty ładnie mówisz.

KRAJECKA: Wyrażasz się z takim zapamiętaniem, z takim namaszczeniem, że doprawdy, cała jestem wzruszona.

HENRYK: Do licha, już czwarta - powinien tu już być.

ZOFIA: Oczekujesz kogo?

HENRYK: Krzywickiego, mego Krzywickiego.

ZOFIA: Znowu. Wczoraj był przecie. Masz jaki proces?

HENRYK: Dlatego, że oczekuję przyjaciela, który jest adwokatem?

ZOFIA: Właśnie.

HENRYK: Bądź spokojna, moja najdroższa, nie mam procesu.

KRAJECKA: Lecz gdybyś go miał, nie radziłabym ci powierzać go przyjacielowi. Nie powinno się nigdy być klientem swoich przyjaciół. Wprawdzie nie biorą pieniędzy, ale też robią lichò.

ZOFIA: Więc pocóż dziś znów przyjedzie?

HENRYK: Mamy pogadać ze sobą o polowaniu, które chcemy wydzierżawić. - Teściowa odjeżdża?

KRAJECKA: Muszę. Jutro pierwszym pociągiem jadę do Krakowa, gdzie oczekują mnie Przyjemscy.

HENRYK: Bardzo mili ludzie, ale mają mniej swatania całego świata.

KRAJECKA: Oh co do mnie, niema obawy.

HENRYK: Tak się mówi. A jakby przyszło co do czego - zwłaszcza z mamą, która nie odmówić nie potrafi.

ZOFIA: Strzeż się mamo. Mają już może dla ciebie jakiego generała... starego generała.

KRAJECKA: Okropność. Przedewszystkiem, to żaden generał.

HENRYK (uśmiecha się): Oh teściowo.

ZOFIA: Już mama wpadła.

KRAJECKA (zakłopotana): Ja? ot też...

HENRYK: No. no Lepiej się przyznać od razu, my i tak przebaczymy.

KRAJECKA: Moje dzieci, tylko nie śmiecie się ze mnie.

HENRYK: Cóż znowu...

ZOFIA: Jak mama może przypuszczać coś podobnego?

HENRYK: A zatem?

KRAJECKA: Więc tak — przyznaję się. Mam coś na myśli. Od dziesięciu lat jestem wdową, sądziłam, że nigdy nie przyjdzie mi ochota wyjść powtórnie za męża, ale Zofja opuściła mnie dla ciebie. Henryku, zostałam sama i jakkolwiek wy najlepszymi jesteście dla mnie to jednak są przyjemności i rozrywki, których dać mi nie możecie.

HENRYK: Moje zięciowskie poświęcenie nie tak daleko sięga.

KRAJECKA: Mam 45 lat, to prawda, ale są dni, w których mi się zdaje, że mam dopiero 39. Pani Przyjemska napisała do mnie w tych dniach...

HENRYK: A co? nie mówiłem.

KRAJECKA: Że ma dla mnie człowieka lat 48, dobrze zakonserwowanego, nie brzydkiego z pięknym stanowiskiem i bardzo dobrej rodziny. Nie dałam jednak żadnej decydującej odpowiedzi, muszę go wpierw zobaczyć, nie postanowię zaś nic bez uprzedniego z wami porozumienia. Cóż ty na to Zofio?

ZOFIA: Moje zdanie mamó jest zawsze takie, jak Henryka.

KRAJECKA: A jakie zdanie Henryka?

HENRYK: Że mama ma najzupełniejszą rację. Prawda Zofio?

ZOFIA: Oczywiście.

KRAJECKA: Doprawdy? Nie wydaje wam się to niewłaściwym.

HENRYK: Bynajmniej - będę miał teścia. To było zawsze mojem marzeniem.

KRAJECKA: Moje dzieci, zdejmujecie mi kamień z serca. Jestem bardzo zadowolona.

HENRYK: Ale mama dobrze strzeże swoich tajemnic.

KRAJECKA: Nie miałam odwagi mówić o tem, zwłaszcza z tobą Henryku.

HENRYK: Dlaczego? Czym ja taki straszny?

KRAJECKA: Obawiam się, że cię rozgnie-

wam. Ożeniłeś się z jedynaczką, która ma prawo do całego mego majątku.

HENRYK: A niechże mama da pokój. Jestem bogatszy od was. Jeszcze jedno słowo, a wyposarzę mamę.

KRAJECKA: Henryku, dzielny z ciebie chłopiec. Chodź, niech cię uściskam.

HENRYK: Śpieszę się żeby generał nie zobaczył. (słychać dzwonek) To Krzywicki... — nareszcie...

ZOFIA: Mogę zostać?

HENRYK: Nie moje dziecko. Sprawy myśliwskie nie przedstawiają żadnego interesu dla kobiet.

KRAJECKA: Henryk ma słuszość. Wracam do moich kufrów. Zobaczymy się jeszcze?

HENRYK: Naturalnie.

(Krajecka wychodzi wraz z Zofią).

(Franciszek wchodzi).

HENRYK: Pan Krzywicki. Proś.

FRANCISZEK: To nie pan Krzywicki. To jakiś obcy, który się chce z panem hrabią widzieć.

HENRYK: Obcy? dał ci swoją kartę?

FRANCISZEK: Nie. Powiedział tylko swoje nazwisko — pan Partyński.

HENRYK: Partyński? Nie znam.

FRANCISZEK: Ma coś bardzo ważnego do powiedzenia.

HENRYK: Proś. (Franciszek wychodzi).
Może przysłany przez Krzywickiego.

FRANCISZEK (anonsuje): Pan Partyński. (wychodzi).

SCENA SZÓSTA

Henryk, Partyński (wchodzi rozczochny i wytarty).

HENRYK: Panie.

PARTYŃSKI: Marecki! Jak się masz?

HENRYK (kłania się): Panie.

PARTYŃSKI: Nie poznajesz mnie?

HENRYK: Bardzo niewyraźnie.

PARTYŃSKI: Nie przypominasz sobie Partyński.

HENRYK (szuka w pamięci): Partyński?

PARTYŃSKI: Hilary Partyński, twój kolega z retoryki w liceum Loubeta we Francji.

HENRYK: Czekaj, czekaj... Partyński?

PARTYŃSKI: Właśnie.

HENRYK: Zmieniłeś się.

PARTYŃSKI: Bagatela... 14 lat to nie żarty. Ty także się zmieniłeś, ale na korzyść.

HENRYK: Partyński. Siadajcie. (siada na krześle, Partyński na kanapie). Jakże ci się powodzi?

PARTYŃSKI: Wiesz różnie. To na wozie, to podwozem.

HENRYK: Jakto? Ty chwała gimnazjum Warszawskiego, a potem w Loubeta we Francji, który brał wszystkie nagrody na egzaminach.

PARTYŃSKI: Nie mogę natrafić na dobry interes.

HENRYK: Jesteś przecie dyplomowany we Francji i Polsce.

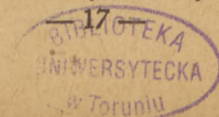
PARTYŃSKI: Jestem. 32 razy nawet. — Tak — chcąc zarobić na kawałek chleba, 32 razy zdawałem maturę pod nazwiskami młodych bogatych próżniaków, którzy płacili mi za to po 1000 franków. Sześć razy egzamin z literatury i 6 razy z prawa na uniwersytecie. 20 razy otrzymałem dyplom za wschodnie języki.

HENRYK: Ależ to przemysł.

PARTYŃSKI: Niewątpliwie, wcale ładny dochód mi to przynosiło, bo nie brak takich, jak ty, młodych ludzi, którzy mają wstręt do wysiłku i pracy.

HENRYK: To prawda.

PARTYŃSKI: Ale skończyło się na tem, że znają już na pamięć moją twarz na wszystkich fakultetach Francji, Szwajcaryi i Polski.



Ostatni raz to nawet o mało grubo nie wpadłem.

HENRYK: Jakto?

PARTYŃSKI: Ano tak. Zdawałem egzamin z gramatyki za 12 letnie dziecko, powiadają do mnie "co? 12 lat? z tymi kudłami na twarzy?" Wtedy to spostrzegłem, że ten proceder już nie dla mnie, no i jestem na bruku.

HENRYK: Mój kochany Partyński, z twojem wykształceniem powinienes znaleźć jakieś korzystne zajęcie.

PARTYŃSKI: Nie mogę. Gdziekolwiek się przedstawię, odprowadzają mnie z kwitkiem pod pozorem, że nie mam dyplomu.

HENRYK: Ależ po zdaniu tylu egzaminów.

PARTYŃSKI: Nie miałem nigdy czasu zdać go za samego siebie.

HENRYK: Biedaku.

PARTYŃSKI: Ba... Ale to nie bardzo interesujące dla ciebie.

HENRYK: Przeciwnie, mój stary.

PARTYŃSKI: Przyszedłem do ciebie...

HENRYK: A prawda. Masz coś bardzo ważnego do zakomunikowania mi.

PARTYŃSKI: Bynajmniej. Mówię tak zwykle, żeby zostać przyjętym. Pojmujesz,

gdybym powiedział że przychodzę żądać pomocy, odprawiono by mnie z miejsca.

HENRYK: Aha, podszedłeś mnie. Czemże mogę ci służyć?

PARTYŃSKI: Nie wiem. Może potrzebujesz sekretarza?

HENRYK: Do czego? nic nie robię, żyję z procentu od kapitału. Cóżbym ja robił z sekretarzem?

PARTYŃSKI: Jest to luksus. Mnóstwo ludzi nic nie robi, a ma sekretarza, byłbym ci bardzo użytecznym. Przyjmowałbym za ciebie ubogich takich jak ja, pocieszałbym ich dobrem słowem.

HENRYK: Ależ to żadna praca.

PARTYŃSKI: Wiesz? ja znów nie jestem tak bardzo chciwym na pracę. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł znaleźć miejsce i nic nie robić. No a pomiędzy twymi znajomymi? może masz jakiego zbieracza, któremu prowadziłbym katalogi, albo jakiegoś literata, któremu pisałbym romanse?

HENRYK: Nie, nie mam nic podobnego. Mam bardzo ograniczone stosunki. (dobywa zegarek).

PARTYŃSKI: I stroskaną minę, jakies kłopoty?

HENRYK: A któż ich nie ma?

PARTYŃSKI: Ja to wiem najlepiej. Oh, ja nie chcę wchodzić w twoje tajemnice. Ale chyba nie pieniądze kłopoty?

HENRYK: Wcale nie.

PARTYŃSKI: Chwała bogu. Więc może oczekujesz na order?

HENRYK: Zwaryowałaś?

PARTYŃSKI: To już wiem. Żona cię zdradza.

HENRYK: Także myśl.

PARTYŃSKI: Niezawodnie. Masz piękną duszę, ufasz, a ona nadużywa tego.

HENRYK: Słuchaj stary, nie bierz mi za złe, że nie zatrzymuję cię dłużej, ale...

PARTYŃSKI: Odchodzę.

HENRYK: Poczekaj. (wyjmuje banknot z portfelu) Pozwól ofiarować to sobie.

PARTYŃSKI: Sto złotych? Nie mój drogi. Zatrzymaj to sobie, nie po to tu przyszedłem. Wziąłbyś mnie za naciągacza.

HENRYK: Śmieszny jesteś — Pomiędzy kolegami...

PARTYŃSKI: Nie nalegaj, zrobiłbyś mi przykrość. Wszystko co mogę przyjąć od ciebie, to jest 5 złotych, ani szeląga więcej. To

mi zapłaci powrót do domu i dobry obiad za twoje zdrowie.

HENRYK (daje mu 5 złotych): Masz 5 złotych.

PARTYŃSKI: (chowa 5 złotych, potem sięga po 100 złotych które leżą na stole i chowa do kieszeni): Co zaś do tych stu złotych, biorę je tytułem pożyczki, najrealniejszej pożyczki. Oddam ci je z procentem 5 od sta w bardzo niedalekiej przyszłości.

HENRYK: Ależ...

PARTYŃSKI: Przepraszam. Interes interesem. Skoro tylko zrobię majątek oddam ci pod słowem honoru. Do widzenia mój stary.

HENRYK: Do widzenia.

PARTYŃSKI: Nie potrzebujesz mnie odprowadzać, znam drogę. (wychodzi na prawo)

HENRYK: Ciekawy egzemplarz.

SCENA SIÓDMA

Henryk, Franciszek.

FRANCISZEK: Proszę pana gazety.

HENRYK: Co za gazety?

FRANCISZEK: Te, po które chodziłem na kolej.

HENRYK (żywo): Kto ci kazał chodzić po gazety?

FRANCISZEK: Pani hrabina — Ranne pisma znowu zginęły.

HENRYK: Dawaj mi zaraz te gazety.

FRANCISZEK: A jak pani zapyta o nie?

HENRYK: To powiesz że ich już nie dostałeś.

(Franciszek wychodzi)

SCENA ÓSMA

Henryk. Rózia, pani Mazanowska,
potem Franciszek.

HENRYK (przerzuca gazety): Jeszcze nie miałem czasu przejrzeć ich. (czyta) Trybunały, trybunały.... nic nie ma (Rózia wychodzi) (on składa gazety i chowa szybko do kieszeni) Pan Krzywicki?

RÓZIA: Nie, proszę pana — pani Mazanowska, idę uprzedzić panią hrabinę.

HENRYK: Nie potrzeba. Sam ją uprzedzę. Proś. (Rózia wychodzi) Walentyna, ona musi mieć wiadomości. (Rózia wprowadza Walentynę, potem wychodzi) Proszę wejść droga pani.

MAZANOWSKA: Dzień dobry, no i cóż?

HENRYK (po cichu): Psst... zaraz. (głośno) Jakże zdrowie męża? (idzie poduchać czy Rózia odeszła, potem zamyka drzwi)

MAZANOWSKA: Zdrow, dziękuję.

HENRYK: Nikt nie słucha. Masz jakie wiadomości z sądu?

MAZANOWSKA: Żadnych — przysłałam się dowiedzieć.

HENRYK: Jeszcze nic nie wiem — oczekuję Krzywickiego. Powinien tu już być. sprawa była na wokandzie.

MAZANOWSKA: Nie stawiłeś się?

HENRYK: Wyobrażasz sobie mnie habiego Mareckiego zasiadającego na ławie oskarżonych?

MAZANOWSKA:... Obawiam się, żebyś się został skazany.

HENRYK: Niema obawy.

MAZANOWSKA: Pan Krzywicki tak dobrze broni?

HENRYK: On? to żaden obrońca to fu-szer.

MAZANOWSKA: No więc?

HENRYK: Ale jest w bliskich stosunkach z prezesem sądu, który wydaje zawsze wyroki na jego korzyść.

MAZANOWSKA: Ach oddycham. Wi-działam cię już w więzieniu.

HENRYK: Ale jakkolwiek pewny jestem uwolnienia, nie będę spokojny aż po wyroku.

MAZANOWSKA: Co za nauka. (siada na kanapie).

HENRYK: Tak co za nauka dla mnie.

MAZANOWSKA: Przepraszam. Nauka dla mnie. Dlaczego posłuchałam pana? Ja przyjaciółka Zofji? Dlaczego zgodziłam się na tę schadzke przy ulicy Żórawiej.

HENRYK: Apartamencik ten wynająłem specjalnie dla ciebie. Spędziliśmy tam bardzo przyjemnie po obiedzie — chyba przyznasz?

MAZANOWSKA: Cicho bądź nie mówmy o tem więcej.

HENRYK: Zgodziłaś się przyjść, aby tylko ze mną porozmawiać, jak mówiłaś, a ja rozmawiając, rozbierając cię...

MAZANOWSKA: Bardzo niezręcznie.

HENRYK: Tak, to była konwersacja urywanych guzików. I wszystko byłoby się skończyło jak najlepiej. Ale potem zachciało ci się iść do kabaretu.

MAZANOWSKA: Bo miałaś wolny wieczór. Czy mogłam przypuścić że tam wyniknie taka awantura i spoliczkowanie policjanta.

HENRYK: Trafiłem na wściekłego policjanta, który nie dał się ani przeprosić, ani przekupić. Zapisano mnie jako gwałciciela

publicznego spokoju, który znieważył przytem policję na służbie i ani sposób uniknąć procesu.

MAZANOWSKA: Od tego wieczoru nie spiam, ani nie jadam.

HENRYK: A ja. Walentyno.

MAZANOWSKA: Mam wyrzuty sumienia.

HENRYK: A ja. W dodatku pierwszy to raz zdradziłem wówczas żonę.

MAZANOWSKA: Ja także. pierwszy raz zdradziłam... twoją żonę. A ja bardzo kocham twoją żonę... to moja jedyna przyjaciółka. To też mój drogi, chcę odzyskać spokój sumienia i powzięłam silne postanowienie...

HENRYK: Chcesz wyjechać?

MAZANOWSKA: Nie. Chcę dziś jeszcze wyznać jej wszystko.

HENRYK: Tego by tylko brakowało.

MAZANOWSKA: Tak, trzeba.

HENRYK: Więc ja od tygodnia konfiskuję wszystkie gazety, żeby Zofja nie dowiedziała się o niczem, a ty poszłabyś powiedzieć jej wszystko. Ah, nie, nie!

MAZANOWSKA: Trudno, czuję, że tylko w ten sposób odnajdę może sen i apetyt.

HENRYK: Ale ona je utraci. Ona, która

tu nic nie zawiniła. Nie ty nie myślisz tego na serjo. Powiedz, że nie zastanowiłaś się nad tem?

MAZANOWSKA: Masz słuszość. Ale jak uspokoić swoje sumienie?

HENRYK: Szukać rozrywki.

MAZANOWSKA: Ale jakiej? Czy może w pokoiku na ulicy Żórawiej?

HENRYK: O nie, nie. Żadnej już ulicy Żórawiej. Ot, chodź do teatru na koncerta, na wystawy, cierpimy za swoje winy, ale każde z osobna. (wchodzi Franciszek).

FRANCISZEK (anosuje): Pan adwokat Krzywicki.

HENRYK: Prosić (Franciszek wychodzi) Jakże mi serce bije.

SCENA DZIEWIĄTA

Ciż i Krzywicki.

KRZYWICKI (kłania się): Pani. (do Henryka) Przepraszam cię, rozprawa skończyła się o jedenastej.... przyjechałem samochodem.

HENRYK: Dobrze. Mów prędzej.

KRZYWICKI: (patrzy na Mazanowską): Tylko nie wiem....

HENRYK: Nie krępuj się, mów, jestem jak na szpilkach.

KRZYWICKI: Bądź spokojny, dobrze idzie.

HENRYK: Co za szczęście.

MAZANOWSKA: Czy nie mówiono o damie, która....

KRZYWICKI: Mówiono, ale bez wymienienia nazwisk — pani X. Przedstawiono fakta. Powiedziano żeś się nie stawił—prokurator był bardzo ostry względem ciebie.

HENRYK: Cóż ja mu zrobiłem?

KRZYWICKI: Swoją drogą, mówił głupio: W tych dniach rozkładu społecznego inteligencja powinna dawać z siebie dobry przykład, ale cóż? taki próżniak, pasożyt, synek papy...

HENRYK: Mów krócej.

KRZYWICKI: Połowy nie powiedział tego, co mógł powiedzieć. Ja na jego miejscu....

HENRYK: No, no przejdźmy do wyroku.

KRZYWICKI: Za pozwoleniem najprzód moja obrona. Słyszała mnie pani kiedy?

MAZANOWSKA: Nie, i mocno tego żałuję.

KRZYWICKI: Miałem werwę, broniłem

cię doskonale. Nie dlatego, żebym się chwalił, ale wywołałem kolosalne wrażenie.

HENRYK: Cóżes, powiedział?

KRZYWICKI: Zaznaczyłem, że jesteś niepoczytalny.

HENRYK: He?

KRZYWICKI: Że jak każdy wyrodek działałeś za popędem danej chwili, że jesteś popędliwy i maniak.

HENRYK: (wściekły): Co takiego?

KRZYWICKI: Że inteligencja twoja jest bardzo ograniczona...

HENRYK: No, wiesz co.

KRZYWICKI: Że tłumaczy cię idjotyzm, alkohol i lunatyzm, pod wpływem których znikczemniałeś.

MAZANOWSKA: Miło jest być pańskim klientem.

HENRYK: Mój adwokat, który mnie spotwarza. To niesłychane.

KRZYWICKI: Trzeba było pracować nad uniewinnieniem, a do tego każdy środek jest dobry.

HENRYK: No i co?

KRZYWICKI: Ha, skazany jesteś na 20 dni kozy.

HENRYK: Co? Zostałem skazany? Powtórz to.

KRZYWICKI: Na 20 dni kozy.

HENRYK: Jestem zgubiony.

KRZYWICKI: I nie można odroczyć, ani zamienić na grzywny.

HENRYK: (zrozpaczony): 20 dni kozy bez zamiany. I on znajduje że wszystko idzie dobrze.

KRZYWICKI: Bo to bagatela. Mogłeś dostać więcej.

HENRYK: Krzywicki, ani słowa więcej, ani słowa, bo cię uduszę.

MAZANOWSKA: Mój drogi...

HENRYK: Pani, odchodzę od zmysłów. Ten idjota przychodzi z taką miną, jakby niósł dobrą wiadomość i oznajmia mi, że muszę siedzieć 20 dni w kozie.

KRZYWICKI: Poświęcaj się tu.

HENRYK: Słyszysz go pani?

MAZANOWSKA: Panie Krzywicki, sądziłam że prezes jest pańskim przyjacielem.

KRZYWICKI: Niestety, nastąpiła zmiana w sądownictwie. Mego sędziego zastąpił inny, Stefan Mądrzycki. Wstrętny człowiek. Skazuje na karę bez pardonu. Nazywają go wściekłym sędzią.

MAZANOWSKA: Znam go z opinji. To ten, co utrzymuje, że niewinni nie istnieją.

HENRYK: Gdybym był wiedział, byłbym poszedł do ministerstwa sprawiedliwości, do prezydenta Rzeczypospolitej. Ale cóż ty byłeś tak pewny uniewinnienia.

KRZYWICKI: Czy to moja wina, że zmienił prezesa?

HENRYK: Broniłś jak osioł. Jak kwadratowy osioł.

KRZYWICKI: Henryku.

HENRYK: Albo ty masz jaki talent? Gadasz jak piekarki na mękach, śmieją się z ciebie.

MAZANOWSKA: To trochę za ostro.

KRZYWICKI: A jednak miałeś do mnie zaufanie.

HENRYK: Wybrałem cię z dobrego serca, chciałem, żebyś miał choć jedną sprawę w życiu. No i co? naraziłeś mnie na 20 dni kozy.

KRZYWICKI: Ani słowa więcej, odchodzę.

HENRYK (podaje mu kapelusz i tekę): Nie zatrzymuję cię, bądź zdrów.

KRZYWICKI: Najważniejszej rzeczy byłbym zapomniał. Dziś wieczorem musisz już być w kryminale.

HENRYK: Dziś wieczorem w kryminale. (pada zemdłony na krzesło).

MAZANOWSKA: Boże drogi, co się stało? Co robić?

KRZYWICKI: Zadzwoń.

MAZANOWSKA: Nie nikogo wołać nie trzeba. Rozcieraj mu pan ręce, ja pójdę do Zofji, żeby czasem tu nie weszła.

KRZYWICKI: Dobrze.

MAZANOWSKA: Weź pan trochę wody, trzeba mu zwilżyć skronie. (wychodzi na lewo. Krzywicki wyjmując kwiaty z wazoniku stojącego na stole, macza w nim chustkę od nosa i naciera nią skronie Henryka).

KRZYWICKI: Henryku. dajże pokój. Opamiętaj się.

HENRYK: Oh. już lepiej. Dziękuję ci i przepaszam cię za moją popędliwość.

KRZYWICKI: Nie mówmy już o tem, puściłem w niepamięć.

HENRYK: Nazwałem cię osłem.

KRZYWICKI: Opinia światowca jest bez znaczenia.

HENRYK: Co ja pocznę?

KRZYWICKI: Będiesz odsiadywał więzienie. Wyrok zapadł formalny, dziś wieczór musisz się stawić w więzieniu.

HENRYK: Musiałbym przyznać się przed żoną, że policjantowi dałem policzek, że byłem z kobietą, jej najlepszą przyjaciółką w gabinecie.

KRZYWICKI: Zapewne że to przykra sytuacja, ale trudno, niema wyboru.

HENRYK: Wyznać wszystko przed Zofią? Powściekali się z tym zamiarem opowiadania jej całego skandalu. Pomyśl, że ja dla mojej żony jestem bez zarzutu, który nigdy nie zbłądził, bóstwem prawie. Sam dobrowolnie nie myślę się zrzucić z tego piedestału.

KRZYWICKI: To cię nauczy, że nie należy się przedstawiać w fałszywych blaskach przed żoną.

HENRYK: Żałuję gorzko tego głupstwa. Krzywicki ratuj mnie, a przysięgam ci, że to mnie wyleczy raz na zawsze. Może jest jaki sposób wyprowadzenia mnie z tej matni?

KRZYWICKI: Mój drogi, niema rady skoro wyrok zapadł.

HENRYK: Może można zyskać na czasie?

KRZYWICKI: To można. Czekażże, za telefonuje natychmiast do dyrektora ułaskawień, znam go trochę, na jednej sali pracujemy.

HENRYK: A może i tego zmieniono?

KRZYWICKI: Niema obawy. On mi może użyczy pewnej zwłoki, która pozwoli ci orientować się w sytuacji. Dobrze? Masz tutaj telefon?

HENRYK: Naturalnie.

KRZYWICKI: Gdzie?

HENRYK: W przedpokoju. Ale nie, stąd nie możesz telefonować, jeszcze by kto usłyszał, idź do pocztowego biura, dwa kroki stąd.

KRZYWICKI: Za pół godziny będę z powrotem. (wychodzi na prawo)

SCENA DZIESIĄTA

Henryk, Partyński.

HENRYK: Żeby tylko zastał tego dyrektora ułaskawień. Chociaż jeżeli go i zastanie, cóż to za ratunek dla mnie? To będzie tylko zwłoka, skończy się na tem, że wszystko przed Zofią wyznać muszę, ale to niepodobna. Co zrobić? Uciec. Ale gdzie?

PARTYŃSKI (wchodzi z prawej, nieśmiało): To ja.

HENRYK: Co? Znowu? Nie mam czasu.

PARTYŃSKI: Nie gniewaj się, wchodzę i wychodzę. Odnoszę ci twoje 5 złotych (oddaje mu).

HENRYK: Nie warto było — mogłeś zatrzymać.

PARTYŃSKI: Nie mogłem, bo banknot jest fałszywy.

HENRYK: Przepraszam. Masz inny. (daje mu)

PARTYŃSKI: To się nazywa być gentelmanem.

HENRYK (wykrzyk): Oh.

PARTYŃSKI (przestraszony): Co?...

HENRYK: Partyński, niebo cię zsyła.

PARTYŃSKI: Tak sądzisz?

HENRYK: Przedewszystkiem siadaj. Siadaj.

PARTYŃSKI: Siadam. Jak ty na mnie patrzysz?

HENRYK: Partyński, chcesz zarobić 20 tysięcy złotych?

PARTYŃSKI (wstaje): Zwarjowałeś...

HENRYK: Nie zwarjowałem — siadaj. To co ci proponuję, jest zupełnie serjo. Potrzebuję od ciebie przysługi i jeżeli się zgodzisz, zarobisz 20 tysięcy złotych.

PARTYŃSKI: Już wiem, chcesz, abym zdał za ciebie egzamin dojrzałości.

HENRYK: Nie. To, czego żądam, jest mniej trudne. Proponuje ci 20 dni więzienia.

PARTYŃSKI: Oh! do diabła, nie plec głupstw. (wstaje i chce wyjść).

HENRYK: Nie uciekaj, zaraz ci wytłumaczę.

PARTYŃSKI: Jakto 20 dni więzienia?

HENRYK: Wiesz, było to tak. — Przed kilku dniami byłem z pewną damą w kabarecie, gdzie wywołano awanturę, więc musimy zmykać. Wychodząc z kabaretu, policjant zaczął nas indagować i prawić nam impertynencje, co zgiewało mnie i uderzyłem go w twarz.

PARTYŃSKI: No, i komedja gotowa.

HENRYK: Tak, oskarżono mnie i wyrok zapadł zaoczny; a jutro muszę się stawić do więzienia.

PARTYŃSKI: I ja mam zająć twoje miejsce jako hrabia Henryk Marecki? i żeby twoja żoneczka nie wiedziała o tem?...

HENRYK: Tak mój drogi przyjacielu. — A więc zgadzasz się?

PARTYŃSKI (n. s.): 20,000 złotych! Jeszcze nigdy tyle pieniędzy nie miałem. (głośno) Wiedz o tem, że masz dobrego przyjaciela, więc się poświęcę.

HENRYK: Dziękuję ci.

PARTYŃSKI: Lecz nie myśl, że ja to czynię jedynie dla pieniędzy; pójdę za cie-

bie do więzienia, aby ratować ciebie przed skandalem.

HENRYK: Wiem, wiem o tem. A zatem masz tutaj jako zadatek 1000 złotych, a jak wyjdiesz z więzienia zgłosisz się do mojego adwokata Krzywickiego, który ci wypłaci resztę.

PARTYŃSKI (chowa pieniądze, żegna się): Do widzenia...

HENRYK: Do widzenia, a sprawój się tam dobrze...

PARTYŃSKI (wraca): Jakiż ja roztargniony. (podaje mu sto złotych).

HENRYK: Co to jest?

PARTYŃSKI: Sto złotych, któreś mi pożyczyl. Powiedziałem, że oddam jak zrobię majątek, dałem słowo, moje słowo honoru jest święte.

HENRYK: Ale...

PARTYŃSKI: Pst... Zrobiłbyś mi przykrość. Do widzenia. Co za los, co za los...

SCENA JEDYNASTA

Henryk, potem Franciszek, Ludwika,
Albert i Zofja.

HENRYK: Pyszny egzemplarz. W każdym razie wyratował mnie z biedy.
(do Franciszka, który wychodzi) Franciszku.

FRANCISZEK: Panie hrabio.

HENRYK: Powiedz pani i panie Ludwice, że je tu oczekuję — szoferowi oznajmij, żeby przygotował samochód.

FRANCISZEK: Dobrze panie hrabio, (wychodzi).

HENRYK: Dla większej pewności zabiorę z sobą Ludwikę i Zofję. (bierze rozkład jazdy ze stołu).

LUDWIKA (wchodzi, za nią Albert):
Wołałeś nas?

HENRYK: Tak, siostrzyczko. Gdzie Zofia?

LUDWIKA: Widzieliśmy jak wyprowadzała panią Mazanowską furtką ogrodową.

ALBERT: Kochany szwagrze, przy tej sposobności chciałbym pomówić z tobą o naszym małżeństwie.

HENRYK: Później mój drogi, później. (wchodzi Zofia).

ZOFIA: Jestem. O co chodzi?

HENRYK: Powiem ci nowinę, która cię ucieszy. Ty, Ludwika i ja wyjeżdżamy do Zakopanego.

ZOFIA: Co ci się stało?

HENRYK: Doszedłem do wniosku, że podróż jest konieczną w moim stanie zdrowia.

LUDWIKA: Na jak długo?

HENRYK: Na miesiąc.

ALBERT: Na miesiąc?

LUDWIKA: A mój ślub za trzy tygodnie?

HENRYK: Któż to powiedział?

ZOFIA: Sam naznaczyłeś tę datę wczoraj.

HENRYK: W takim razie odbędzie się za dwa miesiące ot i wszystko.

ALBERT (protestuje): A przepraszam.

HENRYK (do niego): Wolicie mnie pochować? Ah, ty egoisto. Widzisz że jestem umierający. Pani Krajecka sama zwróciła na to uwagę.

ZOFIA: Przesadzasz.

HENRYK: Tak? więc twoja matka ma bzika.

ZOFIA: Nie unoś że się.

HENRYK: To niesłychane. Przed godziną wszyscy radzili żebym wyjechał, nie chciałem. Teraz kiedy ustępuję wam i chcę jechać, wy znów macie coś przeciw temu. Ależ to istne chorągiewki, słowo daję.

ZOFIA: Uspokój że się, mój drogi. Wszystko się da pogodzić. Możemy wyjechać na 8 dni.

LUDWIKA: Tylko.

HENRYK: Na moją nerwozę potrzeba najmniej 20 dni czystego powietrza i odosobnienia.

ZOFIA: Henryk ma rację moja droga, ta podróż jest nieunikniona.

LUDWIKA: Doprawdy, to bardzo przykre.

ALBERT: Naturalnie.

HENRYK: Co?

ALBERT: Nic panie, nic nie mówię

ZOFIA: Jutro wyjeżdżamy.

HENRYK: Nie, dziś wieczór. Najmniejsze opóźnienie może pociągnąć za sobą fatalne następstwa.

ZOFIA: Trzeba przecież zapakować rzeczy.

HENRYK: Rzeczy, w dwudziestym wieku po drodze kupuje się wszystko co potrzeba. Śpieszcie się, samochód czeka. Macie 10 minut czasu.

ZOFIA: Sama nie wiem, gdzie ma głowę.

LUDWIKA: Mój biedny Albercie.

ALBERT: Ciężkie jest życie droga Ludwiko.

LUDWIKA: Będziesz myślał o mnie, prawda?

ALBERT: Trzy razy dziennie będę pisał do ciebie.

ZOFIA: Ludwiko, nie mamy czasu do stracenia.

LUDWIKA: Idę już idę. (wychodzą obie na lewo).

SCENA DWUNASTA

Henryk, Albert, potem Krzywicki.

ALBERT: Panie, ale pan nie przedłuży swego pobytu?

HENRYK: Ależ nie. Zresztą, jeżeli masz ochotę jedź z nami.

ALBERT: Niepodobna. Jestem bardzo zajęty.

KRZYWICKI (wchodzi): No, zatelefonowałem.

HENRYK (zatrzymuje go gestem, — cicho do Alberta): Mój Albercie, bądź tak dobry zobacz, czy samochód gotowy.

ALBERT: Najchętniej. (wychodzi)

HENRYK: Mów teraz.

KRZYWICKI: Skomunikowałem się z dyrektorem ułaskawień. Był bardzo uprzejmy, daje ci trzy dni zwłoki.

HENRYK: Trzy dni? Jak Krzysztofowi Kolumbusowi.

KRZYWICKI: Spodziewam się, że jesteś kontent?

HENRYK: I to wszystko, coś znalazł, żeby wyratować swego przyjaciela?

KRZYWICKI: W ciągu trzech dni możesz przygotować żonę.

HENRYK: Obejdę się bez twoich trzech dni. Dziś wieczorem o oznaczonej godzinie, hrabia Marecki stawi się u wrót kryminału.

KRZYWICKI: W takim razie żona twoja dowie się o wszystkim.

HENRYK: Nie dowie się, zabieram ze sobą.

KRYWICKI: Do kryminału?

HENRYK: Nie, do Zakopanego.

KRZYWICKI: Do Zakopanego?

HENRYK: Tak mój drogi.

KRZYWICKI: Kpisz, czy o drogę pytasz?

HENRYK: Znalazłem zastępcę, szkolnego kolegę, który odsiedzi za mnie więzienie.

KRZYWICKI (skoczył): Nieszczęsny, czy ty wiesz, na co się narażasz? Podstawienie osoby, fałszywy akt cywilny, artykuł kodeksu karnego... to ciężkie roboty dla ciebie i twego współnika.

HENRYK: Dajże pokój. A któż mnie denuncjuje? przecie nie ty? Więc nic nie ryzykuję, a to jedyny środek ukrycia prawdy przed żoną.

KRZYWICKI: Henryku słuchaj, to niema sensu, co ty robisz — nie pozwolę na to żebyś...

HENRYK: Cicho. Moja żona.

SCENA TRZYNASTA

Ciż, Zofja, pani Krajecka, Ludwika, Albert, Franciszek, niosący palto i kapelusz Henryka.

ZOFIA: Jestem gotowa.

KRAJECKA: Co Zofia mówi? Wyjeżdżacie?

KRZYWICKI: Nie. Nie. On niemoże wyjechać.

HENRYK (kładzie palto): Tylko ty daj pokój. W drogę. W drogę.

LUDWIKA: Do widzenia Albercie.

ALBERT: Droga Ludwiko, do widzenia.

HENRYK (zabiera Zofię): No chodźże raz moje dziecko.

ZOFIA: Dajże mi chociaż mamę ucałować.

HENRYK: Ucałujesz ją za powrotem. (wychodzi z Zofią i Ludwiką i Albertem na prawo).

KRAJECKA: To nie odjazd. To ucieczka. (Krzywicki usuwa się na krzesło).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO

AKT DRUGI.

Salon u hrabiego Mareckiego w Warszawie. Dwoje drzwi na prawo i jedno na lewo. Fortepian na lewo, pośrodku kanapka, przed fortepianem taburecik. Na prawo stolikowe biurko, fotele przed stołem i na lewo. Krzesło na prawo. Na fortepianie rozłożona partycja i fotografia hrabiego Mareckiego. Główne wejście na prawo 2 plan.

SCENA PIERWSZA.

(Pani Krajecka wchodzi, za nią Rózia, potem Albert).

KRAJECKA. A tu ścierane?

RÓZIA. Pani będzie łaskawa zobaczyć...

KRAJECKA (przesuwa palcem po poręczy): Za miękkie masz piórko moja droga.

RÓZIA: Kurz tak prędko opada — robię co mogę.

KRAJECKA: Zapewne. Ale córka pisze mi, żebym zobaczyła, czy mieszkanie w porządku. Wiesz, państwo przyjeżdżają z Zakopanego dziś popołudniowym pociągiem.

RÓZIA: A pani zadowolona z podróży?

KRAJECKA: Jestem zachwycona, moja droga.

RÓZIA: Pani jeszcze odmłodziła.

KRAJECKA: Tak, powtarza mi to każdy. Na tem się to skończy, że gotowam w to uwierzyć. (wchodzi Łącki).

RÓZIA: Pan Łącki. (wychodzi).

KRAJECKA: A prawda. Dzień dobry kochany Łącki.

ALBERT: Byłem u pani na górze, gdzie naturalnie powiedziano mi, że pani wyszła.

KRAJECKA: Jestem u dzieci, jak widzisz. Mieszkamy w jednym domu i żyjemy w zgodzie.

ALBERT: Ma pani jakie wiadomości od pana Henryka?

KRAJECKA: Oczywiście. Od zięcia, jego żony i Ludwika. Ona musiała chyba pisać do ciebie?

ALBERT: Oh tak mało. Zaledwie raz na dzień.

KRAJECKA: To jeszcze mało?

ALBERT: Czas rozłączenia wydaje mi się tak długi. Mieli siedzieć tylko 20 dni, a to już sześć tygodni.

KRAJECKA: Pokuta twoja skończy się

za kilka minut. Córka pisze mi, że mąż jej uleczony zupełnie.

ALBERT: Teraz to ja jestem chory. Chory z tęsknoty. Narzeczonego — zwłaszcza takiego, jak ja, narzeczonego, nie wystawia się na taką próbę. Ja poszczę, proszę pani.

KRAJECKA: To nic, będziesz miał tylko lepszy apetyt. (śpiewając). Najczulsze wyrazy miłości nie powiedzą, jak kocham cię.

ALBERT: To dziwne. Może to będzie niedyskretnie z mojej strony, ale zdaje mi się, tak, zdaje mi się, że pani odmłodziła.

KRAJECKA: Ty także znajdujesz to samo?

ALBERT: Spotkało panią takie szczęście?

KRAJECKA: Bardzo być może. Zresztą oczekuję powrotu moich dzieci. Och mój Łącki, życie jest piękne.

ALBERT: O tak, pani. Zwłaszcza, kiedy Ludwika jest w domu.

KRAJECKA: Nie ty sam się niecierpliwisz i mnie pilno zobaczyć już zięcia. Bardzo pilno. (Wchodzi Zofja i Ludwika). Otóż i oni.

SCENA DRUGA.

Ciż, Zofia, Ludwika potem Henryk.

ZOFJA: Mamo!

KRAJECKA: Zofjo!

LUDWIKA: Albercie!

ALBERT: Moja ukochana Ludwiko!

LUDWIKA: Kochasz mnie jeszcze?

ALBERT: Nad życie!

LUDWIKA: To pocałuj mnie.

ALBERT: O tak. (całuje ją). Jeszcze raz.
(całuje) Jeszcze raz.

ZOFJA: Zwolna, zwolna, mój przyszły
szwagrze.

ALBERT: Dzień dobry kochanej pani.

LUDWIKA (patrząc na niego): Zeszczupłał biedaczek. Jestem bardzo z tego zadowolona. Gdybyś nie był zeszczupłał, byłabym się obraziła.

KRAJECKA: A gdzież mój zięć?

HENRYK (wchodzi): Jestem mateczko, jestem. Płaciłem dorożkarza.

KRAJECKA: Ślicznie wyglądasz.

HENRYK: Górskie powietrze. Wypoczynek. Ruch.

KRAJECKA: Więc już po nerwozie?

HENRYK: Jem dobrze, trawię dobrze, śpię doskonale. Jak się masz Albercie? (uścisk dłoni).

ZOFJA: Dawny humor mu wrócił, jest wesoły, grzeczny i miły.

HENRYK: Przesadza — czuję się doskonale, ot i wszystko. Teraz będziemy mogli pomyśleć nad oznaczeniem terminu ślubu tych dzieci.

ZOFJA: Pomówmy o tem dziś wieczór.

HENRYK: Dlaczego nie zaraz? Na ogłoszenie zapowiedzi potrzeba 3 tygodnie. Jutro wyjdzie pierwsza.

ALBERT: Dlaczego nie dziś?

HENRYK: A papiery?

ALBERT: Noszę je przy sobie. Odczytywałem je od czasu do czasu, dla nabrania cierpliwości.

LUDWIKA: Idź do parafji, ja się tymczasem ubiorę. Co za szczęście.

HENRYK: Jesteś zadowolony?

ALBERT: Spodziewam się... jeszcze trochę, a mnie musianooby wysłać do Zakopanego.

LUDWIKA: Biegnij co masz sił. (Albert wychodzi na prawo). Henryku, jesteś dobry, kocham cię. (całuje go i wychodzi na lewo).

HENRYK: Miło jest mózdz rozsiewać szczęście w koło siebie.

ZOFJA (do matki): Jak Henryk doskonale wygląda? cudownie.

KRAJECKA: Wspaniale.

HENRYK: Człowiek powinien wypoczy-

wać na łonie natury. Ale i pani teściowa nie źle wygląda — odmłodziła, słowo daję.

KRAJECKA: Nie, to już zaczyna być nudne.

ZOFJA: Ma rację, odmłodziłaś. Dobrze się bawiłaś u Przyjemskich?

KRAJECKA: Wybornie.

HENRYK: A stary generał?

KRAJECKA: Jaki stary generał?

HENRYK: No ten mój przyszły teść?

KRAJECKA: Przedewszystkiem to żaden generał. Co wam jest z tym generałem? To bardzo miły człowiek, a jaki pikantny, nawet więcej pikantny, jak....

HENRYK (kończąc): Jak miły.

KRAJECKA: Właśnie. Przyjechał do Przyjemskich niby to na polowanie. Siedział przy mnie cały czas, kokietował mnie od rana do wieczora.

HENRYK: Co mama mówi?

KRAJECKA: Z pełnym rozumie się szacunkiem. Mówi doskonale. To człowiek rozumny, głęboki myśliciel, towarzyski. Będzie ci się podobał Henryku.

HENRYK: Jeżeli się mamie podoba — a mam nadzieję, że tak jest — i nam podobać się będzie. A mamie podoba się?

KRAJECKA: Niezmiernie.

ZOFJA: Krótko i bardzo dobrze powiedziane. A ty mateczko podobasz mu się?

KRAJECKA: Nie powiedział mi tego.

HENRYK: Niegrzeczny.

KRAJECKA: Ale dał mi dużo do zrozumienia. — Zakochany jak student. Podnosił kwiatki, które ja rzucałam, przysyłał mi wiersze. Moje dzieci, nie macie pojęcia, jak to przyjemnie w moim wieku mózdz zawrócić głowę człowiekowi serjo.

ZOFJA: Bardzo mnie to cieszy, mamó.

KRAJECKA: Ale...

HENRYK: Więc jest ale?

KRAJECKA: Będziecie się śmiać ze mnie.

HENRYK: Cóż znowu, niech mama mówi, jesteśmy wyrozumiali.

KRAJECKA: Otóż nie miałam odwagi przyznać się mu, że mam córkę zamężną.

HENRYK (wesoło): Wymazała mnie mama z żywych rejestrow.

KRAJECKA: Tak.

HENRYK: Nie istnieję wcale?

KRAJECKA: Wybaczcie mi, ale nie chciałam stracić poezji w jego oczach.

ZOFJA: Mamó droga, wstydzisz się swego owocu?

KRAJECKA: Bynajmniej, ale pojmujesz, teściowa to cokolwiek mniej malownicze, niż wdowa.

ZOFJA: Biedna mamó, przebaczymy ci.

KRAJECKA: Ale dziś ma złożyć mi wizytę, po której muszę mu dać decydującą odpowiedź — więc wyznam mu prawdę.

HENRYK: I ja z martwych powstanę. Dziękuję. Jak się nazywa mój przyszły teść.

KRAJECKA: Na imię mu Stefan.

HENRYK: Stefan?

ZOFJA: Ładnie brzmi... Stefan.

KRAJECKA: Co do jego nazwiska... — (wchodzi Franciszek).

FRANCISZEK (anonsuje): Pan Krzywicki.

HENRYK (żywo): Krzywicki. Prosić. — (Franciszek wychodzi).

ZOFJA: Pocóż on przychodzi?

HENRYK: Jeszcze w kwestji tego polowania, a którem mówiłem ci przed wyjazdem.

KRZYWICKI (wchodzi): Uszanowanie paniom. Jak się masz Henryku? Nie przeszkadzam państwu?

HENRYK: Wcale nie, wcale nie. Dopiero cośmy przyjechali.

ZOFJA: Mój mąż wyleczony, wie pan?

KRZYWICKI: Chwała Bogu. Nie wiedziałem, że byłeś chory.

HENRYK (żywo): Nerwoza, pocóż bym jeździł do Zakopanego, jeżeli nie dla wyleczenia się z nerwozy?

KRZYWICKI: Ach tak — gdzież mam głowę. Zapomniałem zupełnie.

KRAJECKA: Był bardzo chory. Stracił sen i apetyt.

KRZYWICKI: Mnie to pani mówi? On mnie naprawdę niepokoił. Mówiłem nawet między znajomymi — temu biednemu Henrykowi nie wiele się już należy.

HENRYK: Dziękuję.

RÓZIA (wchodzi z lewej): Proszę pana kufry przyniesiono.

ZOFJA: Dobrze, mama pomoże mi rozpakować się. Panie Krzywicki, zostawiam pana z mężem, porozmawiajcie sobie o polowaniu.

KRZYWICKI: O jakim polowaniu?

ZOFJA: No o tem, co mieliście wydzierżawić przed naszym wyjazdem.

KRZYWICKI: Ja? Pojęcia nie mam jak się z fuzją obchodzić.

HENRYK (żywo): Cóż ty zupełnie już pamięć straciłeś? No idźcie i zostawcie nas samych.

KRAJECKA: Później wrócimy do poprzedniej rozmowy... mnóstwo rzeczy mam jeszcze do opowiadania. (wychodzi z Zofją na lewo).

HENRYK: Przytomny jesteś, niema co mówić.

KRZYWICKI: Trzeba było wtajemniczyć mnie we wszystkie twoje kłamstwa.

HENRYK: Kiedy się jest przyjacielem człowieka żonatego, zawsze należy się mieć na baczności.

KRZYWICKI: Dobrze ci tak, nie oszukuj żony.

HENRYK: Dobrze. Dobrze. Mówię o mojej nerwozicie, a ty się płaczesz nic nie rozumiesz.

KRZYWICKI: Zapomniałem

HENRYK: Jednego tylko masz klienta, to chyba nie trudno spamiętać, co on robi. (sądza go) Siadaj. Cóż się działo podczas mojej nieobecności?

KRZYWICKI: Twój zastępca odsiedział twoje 20 dni kozy.

HENRYK: Dobrze. Nie domyślano się podstępów?

KRZYWICKI: Nie. Pseudo hrabia Marecki wyszedł z więzienia przed dwoma tygod-

niami, a ja odnośnie do twoich instrukcji wypłaciłem mu 19,000 złotych.

HENRYK: A potem?

KRZYWICKI: To już wszystko. Nie masz chyba pretensji, żebym go zaprosił do siebie i ofiarował mu rękę mojej siostry.

HENRYK: Mój drogi Krzywicki, adwokatem jesteś lichym.

KRZYWICKI: Proszę cię, nie dziękuj mi.

HENRYK: Ale śmietanką przyjaciół. No chwiała ci Panie, że już koniec tej szkaradnej afery.

KRZYWICKI: Masz szczęście — to się mogło źle skończyć.

HENRYK: Ta — ta — ta.

KRZYWICKI: Sądownictwo jest czułem na tego rodzaju facecje, narażałeś się na ciężkie roboty.

HENRYK (wstaje): Tak, tak. Tortury i rusztowanie.

KRZYWICKI Drwisz ze wszystkiego. Wierzaj, wisiałeś na włosku. Sędzia Mądzycki nie żartuje.

HENRYK: Wściekły sędzia. Ale kontent jestem, że ogłupiłem tego prezesa sądu. Dzięki temu, odbyłem cudowną podróż i wracam wy-

poczęty, szczęśliwy i bardziej zakochany niż kiedykolwiek.

KRZYWICKI: W twojej żonie?

HENRYK: W mojej żonie także, ale głównie w tamtej, w tej szalonej pani Mazanowskiej.

KRZYWICKI: A tego to już nadto. Henryku, zastanów się.

HENRYK: Co ci jest?

KRZYWICKI: Coś mi powiedział przed miesiącem?

HENRYK: Żeś mnie bronił jak osioł.

KRZYWICKI: Nie, potem. Nie pamiętasz już — no to ci przypomnę, że nie zdradzisz swojej żony.

HENRYK: To możliwe, ale wtedy byłem chory, niespokojny, nerwowy...

KRZYWICKI: Przysięgałeś...

HENRYK: Czy taka przysięga zobowiązuje do czego? Gdybym n. p. przysięgł, że przestanę oddychać, czy mógłbym tego dotrzymać? Nie. Trudno, człowiek musi być posłuszny głosowi natury.

KRZYWICKI: Cóż u diabła. Oszukiwać żonę, to głos natury?

HENRYK: A żebyś wiedział, nie ma nic naturalniejszego...

KRZYWICKI: I ty miałbyś odwagę?

HENRYK: Mam ją. Ona tu będzie o trzeciej godzinie.

KRZYWICKI: Wie o twoim powrocie?

HENRYK: Ma się rozumieć.

KRZYWICKI: Pisałeś do niej?

HENRYK: Nie, taki głupi nie byłem.

KRZYWICKI: Chwała Bogu.

HENRYK: Moja żona zrobiła to za mnie. Powiedziałem zofji, napisz pocztówkę do pani Mazanowskiej, że wracamy.

KRZYWICKI: Henryku, oburzasz mnie.

HENRYK: Krzywicki, ja wiem już dlaczego ty nie masz klientów. Dlatego że nie umiesz kłamać.

KRZYWICKI: Prawda, mam wstręt do kłamstwa.

HENRYK: Niestety, brak ci do tego sprytu i odwagi. Kaleki bez nóg mają zwykle wstręt do foot - ballu.

KRZYWICKI: Strzeż się Henryku, to się źle skończy.

HENRYK: Dość na dziś morałów. Kochana Walentyna sześć tygodni mnie nie widziała, musi usychać z tęsknoty. Będziemy mieli dzień miłości jakich nie wiele na świecie (do wchodzącego Franciszka) Co tam?

FRANCISZEK: Wizyta do pani.

HENRYK: Kto taki?

FRANCISZEK: Pani Mazanowska.

HENRYK (po cichu do Krzywickiego Hm Pani Mazanowska. (głośno) Proś. (Franciszek wychodzi)

KRZYWICKI: Wiesz co postępowanie twoje jest wstrętne, wolę pójść sobie.

HENRYK: Nie zatrzymuję cię. Idź tędy. (prowadzi go do drzwi w głębi 2 pr.)

KRZYWICKI (na progu): A pamiętaj, com ci powiedział. To się źle skończy (wychodzi).

HENRYK (wypycha go): Bardzo źle, już wiem.

SCENA PIĄTA

Henryk, Walentyna, potem Franciszek.

MAZANOWSKA (z prawej): Dzień dobry drogi panie.

HENRYK: Dzień dobry droga pani (rzuca się do niej) Walentyno ubóstwiana Walentyno.

MAZANOWSKA (zatrzymuje go gestem) O, przepraszam.

HENRYK: Co? Jesteśmy sami.

WALENTYNA (usuwa się): Zofja jest?

HENRYK (wskazuje na lewo): Tak rozpakowuje kufry. Walentyno, taki jestem szczęśliwy, że cię widzę.

WALENTYNA (zimno): Ja także jestem bardzo szczęśliwa.

HENRYK: Doprawdy

WALENTYNA (siada): Wypełniłeś pan swoją powinność?

HENRYK: Jakto moją powinność? Ah, tak, więzienie? Naturalnie.

MAZANOWSKA: Otrzymałeś pan swoje przesyłki?

HENRYK: Przesyłki?

MAZANOWSKA: Tak, posyłałam panu pasztety, homary, cygara, szampan, słodycze.

HENRYK: Ah — tak prawda. (na stronie) Szczęściarz ten Partyński. (głośno) Tyle dobroci z twej strony dla mnie. (siada przy niej, ale ona wstaje i usuwa się) Walentyno.

MAZANOWSKA: Przepraszam, proszę wstrzymać.

HENRYK (trzyma ją za ręce): Nie mogę. Myślałem o tobie, tylko o tobie, na wilgotnej słomie więziennej.

MAZANOWSKA: Czemże usprawiedliwiłeś pan swoją nieobecność przed Zofją?

HENRYK: Jutro ci to opowiem, przy uli-

cy Żórawej, zatrzymałem apartamencik telegraficznie.

MAZANOWSKA: Żle pan zrobił, panie Marecki.

HENRYK: Dlaczego?

MAZANOWSKA: Nie pójdę jutro na ulicę Żórawią.

HENRYK: Więc pojutrze, ale dlaczego tak długo czekać?

MAZANOWSKA: Pojutrze także nie. Byłam szalona, niekonsekwentna — Zapomnijmy o tem.

HENRYK: Walentyno. Nie kochasz mnie już?

MAZANOWSKA: Mój przyjacielu, będę szczerą. Skoro dowiedziałam się o pańskim wyroku, powstał we mnie pewien rodzaj reakcji. Jestem córką sędziego, mój nieboszczyk ojciec był prokuratorem, nic dziwnego, że pan ukazałeś mi się zupełnie innym kątem widzenia.

HENRYK: Ależ ja zostałem skazany przez ciebie.

MAZANOWSKA: Nie przeczę.

HENRYK: Powinnaś uwielbiać człowieka, który miał odwagę spoliczkować policjanta, dla przypodobania się tobie.

MAZANOWSKA: Tak powinnabym.

HENRYK: Więc?

MAZANOWSKA: Ale nie mogę. Tak, krew moich przodków burzy się we mnie na samą myśl, że kochankiem moim był (wskazuje na niego) aresztant.

HENRYK: Nie tego już nadto.

MAZANOWSKA: Tak, mój biedny przyjacielu, 20 dni siedziałeś w kozie.

HENRYK (uśmiecha się): Tylko dlatego? A więc nie siedziałem.

MAZANOWSKA: Jakto? Nic nie rozumiem.

HENRYK: Więzienie odsiedział za mnie kto inny. Pewien biedak.

MAZANOWSKA: A moje pasztety?

HENRYK: On zjadał. Smakowały mu również, zapewniam cię.

MAZANOWSKA: Gdybym była wiedziała.

HENRYK (serjo): To sekret. Narażałem się na wielkie niebezpieczeństwo.

MAZANOWSKA: Przynajmniej dyskrecję.

HENRYK: Tymczasem jestem zrehabilitowany w twoich oczach? Możesz mnie kochać napowrót.

MAZANOWSKA: Niestety. To nie przeszkadza, że pan byłeś skazany. Gorzej jeszcze, nie stawiłeś się do więzienia.

HENRYK (wściekły): Co? Otóż to wdzięczność kobieca. Poświęcaj się dla nich, powiedzą ci potem. "Jesteś galernik, wynoś się".

FRANCISZEK (wchodzi): Proszę pana.

HENRYK: Co takiego?

FRANCISZEK: Ktoś chce się widzieć z panem.

HENRYK: Co za ktoś?

FRANCISZEK: Jakiś mężczyzna.

HENRYK: Mężczyzna?

FRANCISZEK: Tak, powiada, że sąsiedował z panem.

HENRYK (żywo): Nie rozumiem.

FRANCISZEK: Ani ja. Chciałem go wyrzucić za drzwi, bo podejrzanie wygląda, ale nie ma sposobu. Pogroził mi, że się ze mną rozmówi jeżeli go nie zamelduję zaraz. Powiada, że pan go sam zaprosił.

HENRYK: Ciekaw jestem. Wprowadź go tu. (Franciszek wychodzi).

MAZANOWSKA: Co to może znaczyć?

HENRYK: Nie wiem. Ale to pachnie jakimś niebezpieczeństwem. Nie mogłem rozmawiać z nim w kryminale. bo tam nie byłem.

MAZANOWSKA: Pan nie, ale pański zastępca.

HENRYK (żywo): Istotnie. tylko tamten mógł to uczynić.

MAZANOWSKA: Zostawiam pana — idę do Zofji, dowiem się później... jestem

HENRYK: Tylko nie odchodź pani, nie zobaczywszy się wprzód ze mną. (Walentyna wychodzi na lewo).

SCENA SZÓSTA

Henryk, Franciszek, Gwiżdż, potem, Rózia.

HENRYK: To robota Partyńskiego. Ale po co on mi przysłał tego człowieka?

FRANCISZEK (wskazuje wpuszczając, mówi za kulisy): Proszę wejść. (wychodzi).

GWIŹDŹ (wchodzi typ camelota, ubranie wyszarżale, spodnie i krawat żołnierski): Hrabia Marecki?

HENRYK: Tak, a pan kto taki?

GWIŹDŹ: To właśnie ja. (podaje mu rękę) Jak się mamy?

HENRYK: Przepraszam, kto pan jesteś?

GWIŹDŹ: Jakto, kto jestem? — Józek Gwiżdż.

HENRYK: Gwiżdż?

GWIŹDŹ: No, Gwiżdż. Twój przyjaciel — sąsiad z kozy.

HENRYK (n. s.): Przyjacieli Partyńskiego. (głośno) Ale czego pan tu chce?

GWIŹDŹ: Aha. Teraz mówisz do mnie "pan". Zdumniałeś od czasu wyjścia z ciupy.

HENRYK: Ja zdumniałem? Cóż znowu?

GWIŹDŹ: To mów mi ty.

HENRYK (z wysiłkiem): Jeżeli chcesz koniecznie...

GWIŹDŹ: A naturalnie.

HENRYK: Ale po coś ty tu właściwie przyszedł?

GWIŹDŹ: Jak widzę, krótką masz pamięć.

HENRYK: Palę za dużo.

GWIŹDŹ: To źle... Rób tak, jak ja — gryź tytoń i pluj.

HENRYK: Masz rację. Ale jak widzisz, nie pamiętam zupełnie, żebym cię widział w areście.

GWIŹDŹ: (Śmieje się) To rura z ciebie. Jakże mogłeś mnie widzieć kiedyśmy się nigdy nie widzieli?

HENRYK: (Śmieje się) A prawda. No więc jakim sposobem my się znamy?

GWIŹDŹ: Słuchaj stary, ty się lecz i przestań palić. Jakto, nie przypominasz sobie, co za wynalazek zrobiłem, że z celi do celi można rozmawiać przez rury kaloryferu?

HENRYK: Oh! prawda... prawda...

GWIŹDŹ: Nareszcie.

HENRYK: (na stronie) Teraz rozumiem.

GWIŹDŹ: Przez tę rurę opowiedziałem ci moją smutną historję, że byłem kupcem.

HENRYK: Kupcem?

GWIŹDŹ: Tak, sprzedawałem gazety. — (krzyczy) Kurjer Warszawski, Gonicz Polski, dwa grosze!

HENRYK: Cicho bądź...

GWIŹDŹ: Przecie to był proceder. No nie? a mimo to zahaczyli mnie raz jako włóczęgę, a to bydle sędzia Mądrycki wpakował mnie na trzy miesiące do ciupy.

HENRYK (wściekły): Oh! ten Mądrycki.

GWIŹDŹ: Prawda? Ciebie też zasądził na 20 dni do ula. Bydlę...

HENRYK: Jakto, ty wiesz?

GWIŹDŹ: Sam mi to powiedziałeś.

HENRYK: Ja?

GWIŹDŹ: Ale nie bój się — niech ja się z nim spotkam kiedy wieczór, przy księżycu, to się porachujemy za siebie i za ciebie... tyś mi bratem... Nie każdy by zrobił dla mnie to co ty.

HENRYK (skromnie): Oh, nie warto mówić o tem.

GWIŹDŹ: Nie warto? to chyba nie pamiętasz. Rzekłeś do mnie przez rurę kaloryfera: ty jesteś najokropniejszą pomyłką sądowną. Po wyjściu z więzienia przyjdź do mnie, a ja się zajmę twoim losem. Ot co zrobiłeś dla mnie. To u ciebie nic nie znaczy? Tyś mi bratem... powiadam bratem... (całuje go kilkakrotnie).

HENRYK: Jesteś pewny, że ci to przyrzekłem?

GWIŹDŹ: Powiedziałeś wyraźnie... "jak się wygramolisz z ciupy, przyjdź do mnie". Wygramoliłem się dziś rano i jestem.

HENRYK (n. s.): Kretyn... idjota, ten Partyński.

RÓZIA (wchodzi z lewej): Proszę pana...

HENRYK: A co tam?

RÓZIA: Pani prosi o swoje złote kolczyki, które są w biurku u pana.

HENRYK (idąc do stołu): Moje klucze zostawiłem w torbie podróżnej.

GWIŹDŹ: Wielkie zmartwienie... Od czegoż ja tu jestem? Mam narzędzia przy sobie, otworzę ci to w mig. (dobywa z kieszeni pęk wytrychów i idzie do biurka).

HENRYK: Co? Ależ na to nie pozwolę.

GWIŹDŹ (odsuwa go): Pozwolisz... (o-

twiera szufladę wytrychem) Widzisz jakie to proste... zrobione elegancko bez hałasu — pięknie, gładko, jak myśl człowieka. (otwiera szufladę i dobywa z niej złote kolczyki, całuje je) Witam was ślicznotki... (oddaje je Rózi) Służę panience, wraz z moim uśmiechem i sercem, jeżeli panna nie odrzuci.

HENRYK (n. s.): E, ja mam dosyć tego przyjaciela Partyńskiego.

RÓZIA: Dziękuję panu. (wychodząc mówi) Zabawny gość. (wychodzi).

GWIŹDŹ: Apetyczna i interesująca służąca, lubię takie młodsze. Przedstawisz mnie?

HENRYK: Ależ dobrze...

GWIŹDŹ (idzie zamknąć szufladę): Ale muszę ci powiedzieć, liche masz zamki. Można by zrobić włamanie w minutę. Jabym to zrobił w sekundę i to porządnie, jak się patrzy.

HENRYK: Dobrze żeś mnie uprzedził.

Głos Pani KRAJECKIEJ: Zostawiłam w salonie.

HENRYK (n. s.): Pani Krajecka... (żywo do Gwiżdza) Ani słowa... nikt nie wie, że byłem w więzieniu.

GWIŹDŹ: Dlaczego? To żaden wstyd.

HENRYK: Jak dla kogo.

GWIŹDŹ: Nieszczery facet z ciebie...

SCENA SIÓDMA

Ciz i pani Krajecka.

KRAJECKA (z lewej): Przepraszam cię mój zięciu, jeżeli przeszkadzam, ale zostawiłam moją torebkę na fortepianie.

GWIŹDŹ: Ah pani jest matką młodej pani? (kłania się) Sługa pani.

KRAJECKA (kłania się) Panie.. (do Henryka) Kto jest ten?..

HENRYK: Mój Boże... to...

GWIŹDŹ (żywo): Jego mleczny brat.

KRAJECKA: Mleczny brat mego zięcia?

HENRYK (n. s.): Śmiałe bydłę...

GWIŹDŹ: Gwiżdź, do usług pani.

KRAJECKA: Pan Gwiżdź, witam pana.

GWIŹDŹ (podaje jej rękę): To rozumiem, pani teściowa zna się na rzeczy... A ja za to pozwolę sobie zapytać, o której godzinie śniadanie?

HENRYK (n. s.): Co? zaprasza się? — (głośno) Już po śniadaniu.

GWIŹDŹ (nacierając sobie żołądek): Szczerze śliwi ludzie...

KRAJECKA: Jakto, pan nie jadł śniadania?

GWIŹDŹ: Nie, od wyjścia z ciupy nie jadłem.

KRAJECKA: Z ciupy?

HENRYK: Tak się nazywa jego rodzinna wioska. Ciupa się nazywa.

KRAJECKA: Biedny chłopiec... Pan musi zjeść śniadanie.

GWIŹDŹ: Muszę!

HENRYK: Pójdzie zjeść na miasto.

KRAJECKA: Dlaczego na miasto? Tu będzie jadł... Każę mu zrobić jajecznicę, jest kurczę na zimno.

GWIŹDŹ: Dobrze.

HENRYK: Po co? On nie lubi robić subjekcji i z natury jest nieśmiały.

KRAJECKA: Wcale tego nie widzę. Twój mleczny brat miałby nie dostać śniadania?... Chodź pan ze mną. (wychodzi na lewo).

GWIŹDŹ (do Henryka) Dobrze jest... czego chcesz? (mówi za kulisy wychodząc) Tylko dużo jajek, dobrze pani teściowo? (wychodzi)

HENRYK: Taki idjota Partyński ubiera mnie w coś podobnego.

SCENA ÓSMA

Henryk, Franciszek, Partyński.

FRANCISZEK (anonsuje): Pan Partyński.

HENRYK: On... (wchodzi Partyński kompletnie zmieniony, broda i włosy starannie u-

trzymane, garnitur bardzo elegancki, kwiatek w butonierce. Franciszek wpuściwszy go wychodzi).

PARTYŃSKI: Jak się masz stary? (kładzie kapelusz w głębi).

HENRYK (z okrzykiem zdziwienia): Oh!

PARTYŃSKI: Wylakierowałem się, co?

HENRYK: Istotnie. Ale nie o to chodzi. Dobrze żeś przyszedł, że mam cię nareszcie...

PARTYŃSKI: Cóżem takiego zrobił?

HENRYK: Co to za Gwiźdz, którym raczyłeś mnie łaskawie obdarzyć?

PARTYŃSKI: Poczciwy Gwiźdz, przyszedł?

HENRYK: Tak, przyszedł. teściowa zaprosiła go na śniadanie.

PARTYŃSKI: Zaczności kobieta...

HENRYK: Tylko że ja nie mam ochoty gościć twoich włóczęgów, twoich bandytów, twoich morderców.

PARTYŃSKI: Nie mogłem przecie dać mu mojego adresu, ani mego nazwiska, prawda?

HENRYK: Więc musiałeś mu dać moje, takiemu urwipółciowi, który wytrychem otwiera mi szuflady.

PARTYŃSKI: Bardzo miły chłopak... — Ofiara zwyrodniałego społeczeństwa.

HENRYK: Aresztant...

PARTYŃSKI: To niczego nie dowodzi.

HENRYK: Więc ty sobie wyobrażasz, że do więzienia biorą ludzi niewinnych?

PARTYŃSKI: A ja? wychodzę z niego niewinny, jak nowonarodzone dziecko.

HENRYK: Ty, to całkiem co innego.

PARTYŃSKI: Mniejsza o to... Nie chcesz podać ręki temu nieszczęśliwemu, to ja to uczynię. Przyślij mi go.

HENRYK: Bądź spokojny.

PARTYŃSKI: A teraz przejdźmy do czego innego... Możesz mi pożyczyć 5000 złotych?

HENRYK (skoczył): Co? nie dosłyszałem.

PARTYŃSKI: Czy możesz pożyczyć mi 5000 złotych?

HENRYK: 5000 złotych? Ależ przed paru dniami otrzymałeś 20 tysięcy!

PARTYŃSKI: He... he... są daleko... w obiegu.

HENRYK: Nieszczęsny... przegrałeś?

PARTYŃSKI: Bynajmniej... Wydałem je na instalację po wyjściu z więzienia.

HENRYK: 20,000 na instalację?

PARTYŃSKI: To nie tak wiele. Mieszka-

nie na ulicy Kruczej No. 12, meble, garderoba i po pieniądzach. Nie mam już ani grosza.

HENRYK: I przychodzisz do mnie?

PARTYŃSKI: A gdzie ty chcesz żebym poszedł? Ty jeden z moich przyjaciół jesteś bogaty. Zastanów się trochę, a jestem pewien, że żądanie moje wyda ci się naturalnem.

HENRYK: Śmieszne doprawdy... Jeżeliś zachorował na manię wielkości, to przecież nie moja wina.

PARTYŃSKI: Doprawdy, tak sądzisz?— Mój kochany, zanim poszedłem do więzienia, byłem spokojny. Jadłem nie codzień, to prawda, spałem czasami pod gołem niebem, to także prawda, ale miałem skromne gusta i byłem szczęśliwy. Tobie zachciewa się zburzyć to przejrzyste istnienie, posyłasz mnie do więzienia, dobrze. Tam znajduję komfort... łóżko angielskie, hydroterapię, elektryczność. Ja, który nie myłem się nigdy, biorę codziennie prysznic — co chcesz? Nabrałem gustu do zbytku.

HENRYK: Więc więzienie tak cię zepsuło?

PARTYŃSKI: Niezawodnie... więzienie obudziło we mnie gust do zbytku. Poza tem żeby mnie do reszty zdemoralizować, przysyłasz mi pasztet i szampan.

HENRYK: Ja?

PARTYŃSKI: Naturalnie... Pudełka cygar, pulardy, a nawet kwiaty.

HENRYK (n. s.): To wszystko dla mnie było przeznaczone.

PARTYŃSKI: Co mówisz?

HENRYK: Nic mój drogi Partyński, rozbrazasz mnie, to też dam ci dobrą radę. Postaraj się o tańsze mieszkanie.

PARTYŃSKI (żywo i uroczyście): Zniżyć się w jej oczach? Nigdy...

HENRYK: W czyich oczach?

PARTYŃSKI: W oczach zachwycającej kobiety, której kochankiem jestem od 48 godzin. Kiedy przed trzema tygodniami opuściłem więzienie, spostrzegłem na Marszałkowskiej przesliczną kobietę, zręczną, szykowną, elegancką. W tem zatrąbił samochód, ona nie słyszy. Moja odwaga popycha mnie naprzód, krzyknąłem... Bacznosc... usuń się pani... Ona usuwa się, samochód poleciał jak bomba, a kobieta zawdzięczając mi życie, podziękowała. Reszty łatwo się domyśleć.

HENRYK: Zostałeś jej kochankiem?

PARTYŃSKI: Nie zaraz, walczyła z sobą sześć dni.

HENRYK: A siódmego?

PARTYŃSKI: Uległa... Ale bo też nadskakiwałem jej zawzięcie... Pojmujesz, po 20 dniach samotności. I tę jeszcze sentymentalną komplikację, tobie mam do zawdzięczenia.

HENRYK: Mam nadzieję, że z tego nie będziesz mi robił zarzutu?

PARTYŃSKI: Nie.

HENRYK: Przyznaj, że ty masz szczęście... (klepie go po ramieniu) Zaledwie wyszedłeś z więzienia, już masz kochankę, podczas kiedy ja...

PARTYŃSKI: Ażebyś wiedział, jaka ładna... Szatynka, nieduża, nie mała, w sam raz, mężatka, która dotąd nie zdradziła męża.

HENRYK: One wszystkie tak mówią.

PARTYŃSKI: O ta nie kłamie. Chociaż mąż jej, to rodzaj dzikiego człowieka, którego ona nigdy prawie nie widzi. Mieszka na prowincji, jest właścicielem kuźnic.

HENRYK: Co takiego?!

PARTYŃSKI: Właściciel kuźnic, mieszka na prowincji, ona go prawie nie widuje.

HENRYK: To nadzwyczajne.

PARTYŃSKI: Co takiego?

HENRYK: Nic.. Szalona myśl przeszła mi przez głowę. No... no... ty szczęśliwcz...

SCENA DZIEWIĄTA

Ciż i pani Mazanowska.

MAZANOWSKA (wchodzi): Kochany panie Marecki, dotrzymuję słowa i przychodzę tędy... (sposstrzega Partyńskiego) Oh!...

PARTYŃSKI (uradowany): Kogo ja widzę?

HENRYK (n. s.): Co mu się stało? (tknięty podejrzeniem) Oh... czyżby to... (głośno) Państwo się znacie?

MAZANOWSKA (żywo): Nie, nie... wcale nie...

PARTYŃSKI (uśmiecha się): Po raz pierwszy mam zaszczyt widzieć panią.

HENRYK: Doprawdy? W takim razie muszę państwa zapoznać ze sobą, Pan Partyński, przyjaciel z lat dziecięcych, pani Mazanowska, przyjaciółka mojej żony.

PARTYŃSKI (kłania się) Pani...

MAZANOWSKA: Panie...

HENRYK (swobodnie): Pan Partyński przyszedł odwiedzić mnie.

PARTYŃSKI: Tak odwiedzić go.

HENRYK: I zaprosić na ślub.

MAZANOWSKA (do Partyńskiego): Co?

PARTYŃSKI (żywo do niej): To nieprawda... to fałsz Waleriyno... to fałsz!

HENRYK (z okrzykiem tryumfu) Aha...
(zacierając ręce).

MAZANOWSKA (urazona): Ależ panie...

PARTYŃSKI: Co za głupie żarty?

HENRYK: Bądź pani spokojną, chciałem powiedzieć, że pan Partyński przyszedł prosić mnie na ślub swego przyjaciela, nie na swój. — Tylko mnie się zdaje, że pani także się pomyliła i że mój przyjaciel Partyński nie pierwszy raz ma zaszczyt widzieć panią.

MAZANOWSKA (patrzy na Henryka):
A więc tak drogi panie, przyznaję się do tego.
I cóż z tego?

HENRYK (zakłopotany): Co z tego? —
no nic.

MAZANOWSKA: Nie wiem do czego może panu służyć to odkrycie? Za dobrze wychowanym człowiekiem jest pan na to, żeby nadużyć, lub zdradzić tajemnicę, którą pan przypadkiem odkryłeś i to w tak dowcipny sposób.

HENRYK: Bądź pani spokojna.

PARTYŃSKI: Nie, nietylko że nie zdradzi, ale pomoże nam.

HENRYK: Tak sądzisz?

MAZANOWSKA: Aż tyle nie żądam. Do

widzenia drogi panie. (do Partyńskiego) Do widzenia Hilary.

PARTYŃSKI (odprowadza ją): Do wieczora, droga Walentyno... (Mazanowska wychodzi na prawo).

HENRYK (n. s.): To nie do wiary... dla czegoś podobnego mnie porzucić.

PARTYŃSKI (wracając): Nie zabawny to traf, że ona właśnie jest przyjaciółką twojej żony?

HENRYK: Prawda... prawda...

PARTYŃSKI: Co to za wytworna kobieta, nie masz pojęcia. a czuła, a kochająca.. Żebym ja ci wszystko opowiedział..

HENRYK: Oszczędź sobie tego, proszę.

PARTYŃSKI: Teraz poznałem, że ona nie kochała jeszcze nigdy.

HENRYK: Dostyc... twoje miłosne awanturki nie interesują mnie wcale.

PARTYŃSKI: Masz rację. Powróćmy do poważniejszej kwestji. Pojmujesz, że nie mogę zniżyć się w jej oczach i niema rady, musisz pożyczyć mi 5000 złotych.

HENRYK: Ja? Ależ to byłby szczyt głupoty... Nigdy...

PARTYŃSKI: Oddam ci je w krótkim czasie.

HENRYK: Znamy się na tem...

PARTYŃSKI: Słowo... Mam świetny interes na widoku.

HENRYK: Nie... Nie... Dziś 5000 złotych, jutro będzie 10,000.

PARTYŃSKI: Zdaje mi się, że po przyśłudze, jaką ci wyświadczyłem...

HENRYK: Co to, szantaż?

PARTYŃSKI (skoczy): Coś ty powiedział? Szantaż?

HENRYK: Tak jest...

PARTYŃSKI: Cofnij to słowo...

HENRYK: Nie cofam...

PARTYŃSKI (idzie po kapelusz): Tego ci nie daruję... Zaraz przyślę ci świadków do pojedynku.

HENRYK: Owszem, czekam...

PARTYŃSKI: Żegnam pana... (wychodzi wściekły na prawo).

HENRYK: Jeszcze kochanki będę mu opłacał... O nie... Czekam na jego świadków... Czekam... Z rozkoszą będę się bił, to uspokoi moje nerwy.

SCENA DZIESIĄTA.

Henryk, Zofja, Gwiżdż.

ZOFJA (z lewej): Widziałeś się z Walentyną?

HENRYK: Oh, aż nadto...

ZOFJA: Co tobie jest?

HENRYK: Nie podoba mi się ta osoba. Zrobisz mi tę przyjemność i zerwiesz z nią.

ZOFJA: Tak ci się podobała dawniej.

HENRYK: Zmieniłem zdanie. Kobieta, która zdradza męża.

ZOFJA: Skądże ty to wiesz?

HENRYK: A przecież to tak widoczne jak nos na środku twarzy.

ZOFJA: Jakiś ty nerwowy... Zamiast się ucieszyć, że znów znalazłeś się u siebie w domu...

HENRYK: Gdybym był wiedział, byłbym jeszcze siedział w Zakopanem.

ZOFJA: Słuchaj, poznałam się z twoim młecznym bratem.

HENRYK: Ah tak, tak... O tym także zapomniałem.

ZOFJA: Powiadam ci... pożera...

HENRYK: Bardzo dobrze, ale od dziś pójdzie pożerać gdzieindziej.

ZOFJA: Dlaczego?

HENRYK: Bo znalazłem dla niego miejsce — doskonałe miejsce u jednego z moich znajomych.

ZOFJA: Biedny chłopiec, on cię tak kocha.

HENRYK: Będzie mnie kochał z daleka.

ZOFJA: Dobrze, dobrze... (n. s.) Boże co za nieszczęście, jego nerwoza powraca.

GWIZDŹ (wchodzi z lewej z udkiem od kury w rękę i z serwetką pod pachą): Mój królu, u ciebie jeszcze lepiej się jada niż w ciupie.

ZOFJA: W ciupie?

HENRYK: To jego rodzinne miejsce.

(Gwizdź nie wiedząc co z udkiem zrobić, wrywa kartkę z partycji rozłożonej na fortepianie, zawija w nią udko i kładzie do kieszeni).

GWIZDŹ: O, podoba mi się ten dom i jego zamożność.

ZOFJA: Panie Gwizdź, mój mąż znalazł dla pana miejsce.

GWIZDŹ (smutno): Miejsce? Masz mnie już dosyć?

ZOFJA: U jednego ze swoich znajomych.

GWIZDŹ: Ja miałbym opuścić mojego dobrodzieja? Ani myślę, zostanę tu całe życie...

HENRYK (n. s.): Całe życie...

— 78 —

GWIZDŹ (do Zofji): Zobaczysz pani, ja się tu przydam, jestem bardzo zręczny w rękach. Będę oddawał rozmaite przysługi, będę powiernikiem pani.

HENRYK (n. s.): Powiernikiem?

GWIZDŹ: Nie jestem wymagający. Byłem tylko mógł pozostać przy moim dobrodzieju, niczego więcej nie żądam. Za darmo będę pracował.

ZOFJA (do Henryka): Słuchaj, on jest bardzo przyjemny. (głośno) Zgadza się, mój przyjacielu, zostajesz.

HENRYK: Ale to niema sensu!

GWIZDŹ: Dziękuję pani. Dziękuję ci Henryku. Kapitalny chłop z ciebie.

ZOFJA: Na górze jest jeden pokój wolny, obok służącej.

GWIZDŹ: Biorę go. I wiedzcie o tem, że wasi nieprzyjaciele będą moimi, ktoby chciał zrobić wam przykrość — to go majchrem.

ZOFJA: Majchrem?

GWIZDŹ: To wyrażenie z ciupy.

ZOFJA: Chodź mój przyjacielu, odprowadzę cię do twego pokoju.

(Wychodzi z nim na lewo).

— 79 —

SCENA JEDENASTA.

Henryk, Partyński.

HENRYK: Ciekaw jestem, jak ja się uwolnię od tego Gwiżdża... To bydlę Mądrzycki nie mógł już go skazać na śmierć.

PARTYŃSKI (wchodzi): Panie, to jeszcze ja.

HENRYK: Teraz ten znowu.—A świadek? nie znalazł ich pan?

PARTYŃSKI: Nie przeczę, że popełniam grubą nieprzyzwoitość, wchodząc w tej chwili do pana, ale czuję się w obowiązku donieść o fakcie, który co tylko zdarzył się na ulicy.

HENRYK: Słucham raportu. (siada).

PARTYŃSKI (siada przy stole): Siadam, choć mnie o to nie proszono. — Wyszedszy stąd, byłem bardzo zdenerwowany postępkami, któremu nie umiem dać nazwy, a którego dopuściłeś się pan względem mojej osoby. Chcąc udać się na poszukiwanie dwóch świadków, wołam doróżki, doróżkarz zatrzymuje się, powiadam doróżkarz, ale to była doróżkarka. Chcę wsiąść, dama krzyczy — “Nic z tego mój miły, jadę na schadzkę”. Za pozwoleniem — powiadam — jesteś wolna i musisz jechać ze mną. “Z tobą jechać,

niedowarzona pałko? nie ma głupich”. Ja naturalnie wściekam się, wołam policjanta, policjant przyznaje słuszność doróżkarce... To dziwne, oni zawsze przyznają słuszność doróżkarkom.

HENRYK: Policja Rzeczypospolitej.

PARTYŃSKI: Zwracam mu grzecznie uwagę, że jest nieprzyzwoicie być stronniczym — on mi odpowiada — “Pan sam jesteś stronniczy i głupi”. Mnie to doprowadziło do ostateczności, wyrzuciłem go w papę, brutalą.

HENRYK (śmiejąc się): Bardzo dobrze, ten także spoliczkował władzę.

PARTYŃSKI: To, co pan usłyszysz dalej, jest o wiele lepsze... Protokół ma się rozumieć. Pytają mnie o nazwisko, już miałem wymienić swoje własne, bo ja nie należę do tych ludzi, którzy odpowiedzialność za swoje czyny ładują na cudze barki.

HENRYK: Dalej, dalej, zaczynam się bawić.

PARTYŃSKI: W tem słyszę za sobą głos. To znowu hrabia Marecki, ależ pan widzę, nie masz nic innego do roboty, jak tylko policzkować policjantów...

HENRYK (zaniepokojony): He?...

PARTYŃSKI: To był dyrektor więzienia, w którym siedziałem. Poszedł na policję, dziwnym trafem chyba dlatego tylko, żeby mnie poznać.

HENRYK (przerażony): Miljon kroków sto tysięcy!...

PARTYŃSKI: Ale że szczęście nie zjawia się nigdy samo, dyrektor był ze swoim przyjacielem. A teraz zgaduje pan, kto był tym przyjacielem? Prezes sądu Mądrzycki.

HENRYK: Ten, który mnie skazał na więzienie?

PARTYŃSKI: Ten sam... "Wściekły sędzia".

HENRYK: Wspaniały obraz.

PARTYŃSKI: Bardzo się cieszę z poznania pana — powiada ten dobrze wychowany człowiek. Tym jednak razem jako recydywista, pójdiesz pan na 40 dni i to obostrzonych postem.

HENRYK: Cóż dalej?

PARTYŃSKI (uśmiecha się): To już wszystko... Zostawiłem ich i przyszedłem oznajmić panu tę radosną nowinę. (kłania się i chce wyjść.)

HENRYK (zatrzymuje go): Czy ty nie widzisz, jakie konsekwencje wypływają z ca-

łej tej afery? Ja? prawdziwy hrabia Marecki miałby być skazany na 40 dni aresztu?

PARTYŃSKI (spokojnie): Gdy komu sprzyja szczęście...

HENRYK: Nie wyobrażaj sobie że ja pójdę odsiadywać te 40 dni.

PARTYŃSKI: Nie wyobrażaj pan sobie czasem, że ja to uczynię.

HENRYK: Przecież to ty, nie kto inny, wypoliczkowałeś stróża bezpieczeństwa.

PARTYŃSKI: Zapewne, ale to nie moja wina, że mnie wzięto za recydywistę. Któż to błagał mnie o to, żebym pod nazwiskiem hrabiego Mareckiego poszedł do kozy?

HENRYK: Partyński, mój drogi Partyński...

PARTYŃSKI: Nie jestem pańskim drogim Partyńskim, tylko panem Partyńskim, który został śmiertelnie obrażony przez pana.

HENRYK: Byłem prędko, ale cofam co powiedziałem.

PARTYŃSKI: Zapóźno...

HENRYK: Słuchaj, dam ci drugie 20,000, jeżeli pójdiesz za mnie odsiedzieć te 40 dni.

PARTYŃSKI: Rozłączyć się z Walentyną na 40 dni? nawet za milion nie... (falszywie odejście) Żegnam...

HENRYK: Czekałże u diabła... Co ja mam robić?

PARTYŃSKI: Ja siedziałem za pana, pan będzie siedział za mnie... Jest sprawiedliwość na świecie.

HENRYK: Chcesz mojej zguby, uparty koźle?

PARTYŃSKI: To mi wszystko jedno.

HENRYK: Partyński... posłuchaj mnie...

PARTYŃSKI: Nie słucham... Żegnam pana... (wychodzi na lewo).

SCENA TRZYNASTA.

Henryk, Zofja, potem Franciszek, Krajecka i Albert

ZOFJA (z lewej): Mężu, twojego mlecznego brata ulokowałam obok pokoju służącej.

HENRYK: Mogłaś coś mądrzejszego wymyśleć.

ZOFJA: Sądziłam, że tem zrobię ci przyjemność.

HENRYK: Prosiłem cię, żebyś w to nie mieszała się.

ZOFJA: Jakiś ty znowu nerwowy.

HENRYK: Z czego to wnosisz?

ZOFJA: Jesteś zły i drażliwy jak przed wyjazdem.

HENRYK: Przewidzenie. Nigdy weselszym nie byłem. (Franciszek wchodzi z bukietem) Co to jest? Czego ty chcesz?

FRANCISZEK: Bukiet ten przyniesiono dla pani Krajeckiej.

HENRYK: Pani Krajecka mieszka o piętro wyżej.

FRANCISZEK: Ale pani jest tutaj, więc...

ZOFJA: Daj mi ten bukiet, Franciszku... sama oddam mamie. (bierze bukiet, Franciszek wychodzi) Z biletem (czyta) Stefan Mądrzycki, prezes sądu.

HENRYK (skoczył): Coś ty powiedziała?

ZOFJA: Nazwisko wypisane na bilecie.— (czyta) Stefan Mądrzycki, prezes sądu.

HENRYK (skoczył): To nie może być, tyś źle przeczytała...

ZOFJA: Więc czytaj sam.

HENRYK (czyta): Mądrzycki... Prawda...

ZOFJA: Co tobie jest? Znasz tego pana?

HENRYK: Czy znam?

KRAJECKA (wchodzi z lewej): Niema już nikogo? Można porozmawiać?

HENRYK: Pani zna pana Stefana Mądrzyckiego? Pani go zna?

KRAJECKA: Troszeczkę. To mój narzeczony.

HENRYK: Siarczyste pioruny... (rzuca bukiet z wściekłością).

ZOFJA: On jest niemożliwy.

KRAJECKA: Pan Stefan Mądrycki, to ten, za którego mam wyjść.

HENRYK: Za niego? Pani majaczy... Nigdy nie zezwolę na to małżeństwo.

KRAJECKA: Co?

ZOFJA: Mój drogi...

KRAJECKA: Ty nie mówisz na serjo...

HENRYK: Przysięgam, że nie mam ochoty do żartów.

KRAJECKA: Dlaczego?

HENRYK: Jakto? Pani teściowa hrabiego Mareckiego, konserwatysty, miałabyś poślubić urzędnika Republiki? to byłoby już koniec mojej kariery politycznej.

ZOFJA: Oh... twoja karjera polityczna...

HENRYK: Dlatego, że nie mam przeszłości? To właśnie cała moja siła... Mam przed sobą przyszłość i nie zezwolę nigdy, żeby twoja matka miała mi ją zniszczyć. (do Krajeckiej) Proszę pani, jeżeli poślubisz tego pachołka, nie chcę cię widzieć na oczy.

KRAJECKA (pada na kanapę): Boże! — Boże! —

ZOFJA (śpieszy do matki): Mamo... matczko... Henryku patrz co robisz...

HENRYK: Bardzo mi przykro, ale nie myślę zrywać z moimi zasadami i jeżeli będziesz mnie do tego zmuszać, opuszczę ten dom natychmiast...

ZOFJA: Mamo słyszysz? to okropność...

KRAJECKA (płacząc): Moje dziecko, jesteście bardzo nieszczęśliwi...

HENRYK: Naturalnie... Teraz zaczniecie szlochać i rozpaczać, żeby służba patrzyła na mnie jak na kata.

KRAJECKA: Jedyna miłość w moim życiu...

HENRYK: Przepraszam, pani zapomina o moim nieboszczyku teściu.

KRAJECKA: Mam na myśli moje wdowie życie.

HENRYK: Poszukamy mamie innego męża, jakiegoś starego margrabiego, słowem człowieka z naszego świata.

KRAJECKA: Ale to nie będzie on.

ZOFJA: Henryku, zastanów się... Ona taka zgnębiona.

HENRYK: Moja droga, tam przed ołtarzem, przysięgłaś mnie posłuszeństwo nie matce.

ZOFJA (unosząc się): E... Wiesz...

HENRYK: Niema "E wiesz"!

ZOFJA: Jesteś człowiekiem bez serca...

KRAJECKA: Uspokójcie się, moje dzieci, nie zezwolę na to, żebyście mieli poróżnić się z mego powodu. Henryk żąda odemnie wielkiego poświęcenia, ale ja was kocham więcej niż samą siebie i ustępuję.

ZOFJA: Poczciwa mateczka..

HENRYK (wzruszony n. s.) Biedna kobieta.

KRAJECKA (do Henryka): Napiszę do Stefana że się sprzeciwiasz.

HENRYK (żywo): Za pozwoleniem, proszę mnie w to nie mieszać... moje nazwisko nie powinno być wymienione.

KRAJECKA: Więc co mam napisać?

HENRYK (żywo): Że zważywszy wszystko jak się należy, nie czuję się pani już dostatecznie młodą, aby powtórnie wychodzić za mąż.

KRAJECKA: On taki zakochany, będzie żądał widzenia się ze mną.

(Z prawej wchodzi Albert)

HENRYK: Ażeby temu zapobiedz, jutro wyjeżdżamy do Egiptu, gdzie przepędzimy zimę.

ZOFJA: O to, to... To będzie bardzo przyjemnie.

KRAJECKA: Tak, tak...

ALBERT (porwany): Co ja słyszę? Jechcie do Egiptu?

KRAJECKA: Tak, jutro rano.

ALBERT: Na długo?

HENRYK: Na pół roku. (bierze rozkład jazdy).

ALBERT: A nasz ślub?

ZOFJA: Trudno mój chłopcze, za naszym powrotem.

ALBERT: A ja kazałem w parafji ogłosić zapowiedzi.

ZOFJA: O tyle mniej będziesz miał do roboty za pół roku. Mateczko chodź napisać ten list.

ALBERT (płacząc): Nie, to nie do wiary jaki ja mam pech...

KRAJECKA (płacząc): Mój biedny chłopcze, jeżeli to może być pociechą dla ciebie, to dowiedz się, że ja mam jeszcze większy...

(wychodzi z Zofją na prawo).

ALBERT: To żadna dla mnie pociecha. Panie, pan się znęca nademną.

HENRYK: Skądże znowu? zdaje ci się.

ALBERT: Postępujesz pan, jak Cezar

Rzymski... Cofać o 10 miesięcy szczęście dwójga młodych istot.

HENRYK: Tylko lepiej kochać się będziecie. Zima to bardzo zła pora do żenienia się.

ALBERT: W jakim świetle mnie pan stawia? Zaprosiłem już pierwszego świadka.

HENRYK: Odwołaj.

ALBERT: Nie odwołuje się tak ni z tego, ni z owego takiego świadka jak prezes sądu Mądrzycki.

HENRYK (skoczył): Co?... Prezes sądu?

ALBERT: Ten sam... (z dumą) To mój kuzyn.

HENRYK: Jego kuzyn... Tego mi tylko brakowało.

LUDWIKA (wchodzi z lewej strony z Zofją i panią Krajecką): Co takiego? Jedziemy do Egiptu?

ALBERT: Droga Ludwiko, nasz ślub znowu odłożony.

HENRYK (krótko): Nie odłożony. Małżeństwo zerwane!

LUDWIKA: Zerwane?

Zofja i Krajewska: Zerwane?

HENRYK: Tak zerwane!

ALBERT: Ja śnię... to nie podobna... Ja

śnię... I dlaczegoż to? Ja przecież mam pańskie słowo.

HENRYK: Cofam je... Już cofnięte...

ALBERT: Tak się nie postępuje...

HENRYK: Najlepszy masz pan dowód, że tak się postępuje, skoro to już zrobione.

ALBERT: Ależ...

HENRYK: Przestań pan i wychodź!

ALBERT: Dobrze panie, ja odchodzę, ale z tobą Ludwiko, ja się nie żegnam.

LUDWIKA: Ani ja z tobą Albercie.

ALBERT: Wiedz, że nie ożenię się z żadną inną kobietą, tylko z tobą... Przysięgam na głowę twego brata.

HENRYK: Hola... hola...

LUDWIKA: Ja także przysięgam na głowę Henryka, że nie wyjdę jak tylko za ciebie.

HENRYK: Dość! Wychodź pan!

ALBERT: Do widzenia Ludwiko... (wychodzi na prawo).

LUDWIKA: Do widzenia, mój Albercie... (do Henryka) A ty, ty, Pamiętaj!

HENRYK: Co to bunt?

ZOFJA: Ona ma słuszość.

LUDWIKA: To moja śmierć... Słyszysz? to moja śmierć!

KRAJECKA: I moja także... (krzycząc wychodzi na lewo, za nią Ludwika i Zofja, wszystkie płaczą).

HENRYK: Tak, pomrą ze smutku wszystkie. Gdyby każda kobieta, która to mówi, umierała, pozostałoby na świecie sami tylko mężczyźni i ja nie znalazłbym się w położeniu w jakim jestem.

SCENA CZTERNASTA.

Henryk, Gwiźdź i Kulik.

(Gwiźdź wchodzi w towarzystwie włóczęgi w oplakanym ubraniu).

GWIŹDŹ: Henryku...

HENRYK (z wrzaskiem): Ach! Co to jest?

GWIŹDŹ: Sprowadzam ci przyjaciela. Jest to sąsiad z ciupy z lewej strony.

HENRYK (pada na taburet przy fortepianie) Nie, nie, ja już się z tej hołoty nie oczyszczę.

Gwiźdź daje znak Kulikowi, żeby się przybliżył do Henryka).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Dekoracja jak w poprzednim Akcie.

SCENA PIERWSZA.

Franciszek, Partyński potem Henryk i Rózia.

PARTYŃSKI (wchodzi): Zastałem pana Mareckiego?

FRANCISZEK: Tak jest, pan hrabia pakuje się w drogę.

PARTYŃSKI: To dobrze, proszę mu powiedzieć, że przyszedł pan Partyński.

FRANCISZEK: Pan Partyński? dobrze proszę pana. (kieruje się ku lewej i otwiera drzwi.)

PARTYŃSKI (n. s.): Zanim przyślę mu świadków muszę się z nim obliczyć.

FRANCISZEK: Pan właśnie nadchodzi.

HENRYK (wchodząc do Franciszka): — Idź do telefonu i połącz mnie z sypialniami wagonami. (do Partyńskiego) A, to ty?

(Franciszek wychodzi)

PARTYŃSKI: Tak, panie, to ja, przyszedłem panu powiedzieć...

HENRYK: Żeś się rozmyślił. Zgadzasz się na kryminał?

PARTYŃSKI: Bynajmniej panie... Dałeś mi pan 20,000 złotych za 20 dni kozy. Przed godziną wyszedłem stąd i udałem się do klubu gdzie wygrałem 22,000 złotych. (wyciąga banknoty) Zwracam panu ofiarowaną mi sumę. A teraz mam prawo zabić pana.

HENRYK: Schowajże to, stary dzieciaku.

PARTYŃSKI: Nie, panie, obraziłeś mnie. A skoro tylko honor mój zostanie obmyty, uwolnię pana od Gwiźdza.

HENRYK: Dajże pokój, przeprosiłem cię przecie. Włóż to do kieszeni napowrót i podaj mi rękę stary kolego.

PARTYŃSKI (wzruszony): Marecki...

HENRYK: Ja ciebie bardzo lubię, ty wiesz o tem.

PARTYŃSKI (podaje mu rękę): Ja ciebie także.

HENRYK: Co do Gwiźdza, nie masz pojęcia co ten bydlak zrobił mi jeszcze. Sprowadził mi tu swego przyjaciela.

PARTYŃSKI: Nie... To wyjątkowa natura.

HENRYK: Twego więziennego sąsiada z lewej strony. Jakiegoś Kulika.

PARTYŃSKI: Kulika? I cóżeś z nim zrobił?

HENRYK: Pozbyłem się go przy pomocy 10 złotych. Ale mniejsza o to. Słuchaj Partyński w imię starej naszej przyjaźni, idź za mnie jeszcze raz do kryminału.

PARTYŃSKI: Nie... Do tej kwestji nie wracamy więcej.

HENRYK: Dam ci 50,000 złotych.

PARTYŃSKI: Nie nalegaj daremnie, nie uczynię tego...

HENRYK: Nie masz pojęcia, ile dachówek spadło mi na łeb od godziny. Wyobraź sobie, że moja teściowa...

(Głos Krajeckiej za sceną): Franciszku... Franciszku...

HENRYK: To ona.. Słuchaj chodź ze mną tutaj (prowadzi go ku prawej).

PARTYŃSKI: Nie mam czasu, muszę odejść.

HENRYK: Daruj mi jeszcze 5 minut, chcę opowiedzieć ci wszystko. (otwiera drzwi na prawo).

RÓZIA (wchodzi z lewej): Proszę pana, wagony sypialne przy telefonie.

HENRYK: Dobrze, idę... (do Partyńskiego) Wejdz tam zaraz powrócę.

(Rózia wychodzi)

PARTYŃSKI: Śpiesz się, bo za 5 minut biorę za klamkę. (wychodzi na prawo).

HENRYK (sam): Dam mu 60,000 złotych.

FRANCISZEK (wchodzi z kartą na tacy): Proszę pana...

HENRYK: Czego chcesz? nie mam czasu.

FRANCISZEK: Bilet do starszej pani.

HENRYK (wskazuje na wchodzącą panią Krajewską) Możesz jej oddać. (wychodzi na lewo).

SCENA DRUGA.

Franciszek, pani Krajewska.

KRAJEWSKA (z kopertą w ręku): Franciszku, od 5-ciu minut dzwonię na ciebie, a ty nie przychodzisz.

FRANCISZEK: Przepraszam panią, ale dzwonię jednocześnie od frontu, więc nie mogłem.

KRAJECKA: Pójdiesz natychmiast z listem na pocztę.

FRANCISZEK: Dobrze, proszę pani.

KRAJECKA (n.s.) Biedny Stefan... Co też powie na mój list? (oddaje list) Proszę cię.

FRANCISZEK (podaje kartę): Ktoś do pani.

KRAJECKA (bierze): Dziękuję. (czyta n. str.) Stefan Mądrycki. — To on!

FRANCISZEK: Ten pan koniecznie chce się widzieć z panią.

KRAJECKA: Więc oddaj mu ten list, który dałam ci w tej chwili. (n. s.) Nie, nie mogę.. (woła) Franciszku!

FRANCISZEK: Słucham.

KRAJECKA: Wróć mi ten list i proś. — (Franciszek wychodzi) Taki człowiek jak on zasługuje na to, żeby postępować z nim otwarcie, tylko połowę prawdy ukryję przed nim.

SCENA TRZECIA.

Krajecka, Mądrycki, Franciszek.

MĄDRZYCKI (z prawej): Droga pani...

KRAJECKA: Drogi panie... Otrzymałam pański śliczny bukiet.

MĄDRZYCKI: Pani jesteś pierwszą kobietą, której Mądrycki ofiarował kwiaty.

KRAJECKA: Niestety, pisałam do ciebie, drogi Stefanie...

MĄDRZYCKI: Co za szczęście...

KRAJECKA: Pisałam z zawiadomieniem o moim wyjeździe.

MĄDRZYCKI: Nie rozumiem. A nasze projekta?

KRAJECKA: Rozchwiane..

MĄDRZYCKI: Pani nie pomyślała nad tem co pani mówi...

KRAJECKA: Przyjacielu, prawdziwy i serdeczny przyjacielu, byłam nieszczerą z panem, ukryłam przed nim, że mam córkę.

MĄDRZYCKI: I to ma być zaporą do naszego szczęścia?

KRAJECKA: Tak, panie.

MĄDRZYCKI: Uspokój się pani. Ja uwielbiam dzieci. Będę najlepszym ojcem dla tej małej, będę ją kochał jak własną córkę. Gdybym był wiedział, byłbym jej przyniósł wspaniałą lalkę.

KRAJECKA: Tak— Tylko że ona ma 23 lat i że od 5 lat jest zamężną.

MĄDRZYCKI: Nie może być.

KRAJECKA: Kobieta mająca 23-letnią córkę zamężną, powinna się zrzec małżeństwa. Nie wolno jej marzyć o wzburzeniu szczerego uczucia.

MĄDRZYCKI (z siłą): A jednak ja najlepszym jestem dowodem, że jej to wolno... i żałuję, że pani ma tylko jedną córkę... Chciałbym żeby ich było 10-15... aby mózdz powie dzieć pani. Kocham cię tak, jak gdybyś była dziewczicą. (siadają oboje).

KRAJECKA: Stefanie, wyjątkowy człowiek z ciebie.

MĄDRZYCKI: Taki już jestem. Przedstaw że mnie pani swojej córce, a skoro wyświadczam przed nią miłość moją dla pani, nie będzie miała odwagi odmówić swego zezwolenia.

KRAJECKA: To nie ona odmawia, to zięć.

MĄDRZYCKI: Zięć pani taki interesowany?

KRAJECKA: Gdzież tam... Zanim się dowiedział o kogo chodzi, zgodził się i to bardzo chętnie, dopiero gdy usłyszał nazwisko...

MĄDRZYCKI: Przecież nazwisko moje jest bez skazy.

KRAJECKA: Co pan chce... To konserwatyista, pan zaś jest urzędnikiem republiki. — Trzeba mu to wybaczyć... Pochodzi z bardzo starej rodziny. Mareccy nie łączyli się nigdy z tłumem jak powiada.

MĄDRZYCKI (zdziwiony): Marecki?

KRAJECKA: Tak, mój zięć nazywa się hrabia Marecki.

MĄDRZYCKI: Hrabia Marecki? Zaraz... zaraz... No tam...

KRAJECKA: Pan go zna?

MĄDRZYCKI: Z nazwiska... Proszę pani,

czy zięć jej nie ma brata, albo kuzyna tego samego nazwiska?

KRAJECKA: Nie. Hrabia Henryk Marecki...

MĄDRZYCKI (przerywa): Henryk?

KRAJECKA: Jest jedynym potomkiem z linii męskiej.

MĄDRZYCKI (wstaje): Wybornie... Zaczyna się wyjaśniać... (zacierając ręce).

KRAJECKA: Co się panu stało?

MĄDRZYCKI: Nic. Więc zięć pani sprzeciwia się naszemu połączeniu.

KRAJECKA: Tak. Ale niech to zostanie pomiędzy nami. Zabronił mi surowo zdradzić przed panem główny powód jego odmowy.

MĄDRZYCKI: Coraz lepiej się wyjaśnia.

KRAJECKA: Co się wyjaśnia?

MĄDRZYCKI: Mój horyzont. — Droga pani, jak prędko spodziewa się pani zięcia u siebie?

KRAJECKA: Jesteśmy w jego mieszkaniu. Ja tu zesłam do dzieci, a pan pomyliłeś się o piętro.

MĄDRZYCKI: Doskonale.. Racz pani poprosić go na chwilkę, pragnę z nim pomówić.

KRAJECKA: Pan miałbyś odwagę?

MĄDRZYCKI: Mam ją i prawie pewny jestem wygranej.

KRAJECKA (dzwoni): Niechaj los sprzyja panu. (do wchodzącego Franciszka) Poproś tu pana hrabiego, ten pan ma interes.

MĄDRZYCKI: Mojego nazwiska wymieniać nie trzeba.

KRAJECKA: Powiedz tylko, że ktoś go oczekuje w salonie.

MĄDRZYCKI: A teraz droga przyjaciółko, pozostaw mnie z nim sam na sam.

KRAJECKA: Tylko proszę pana nie wprowadzać go w zły humor.

MĄDRZYCKI: Przeciwnie. Skoro go pani oddam, będzie łagodny jak baranek.

KRAJECKA: Do widzenia. Idę do siebie. (wychodzi).

SCENA CZWARTA.

Mądrycki i Partyński.

Mądrycki: No tak... rozumiem... Nic dziwnego, że nie podobam się takiemu panu, co policzkuje policjantów.

PARTYŃSKI (wchodzi): Cóż u diabła, zapomniał o mnie zupełnie?

MĄDRZYCKI: Otóż i on...

PARTYŃSKI (n. s. zdumiony): Mądrzycki... przyszedł za mną.

MĄDRZYCKI: Nie spodziewał się pan zastać mnie u siebie, kochany panie Marecki.

PARTYŃSKI: Istotnie (n. s.) Po co aż tu przyszedł za mną?

MĄDRZYCKI: Poznaliśmy się w 9-tej izbie.

PARTYŃSKI: Pst... ciszej... Pani hrabina Marecka nie wie o niczem.

MĄDRZYCKI: Domyślam się tego. Ale bądź pan spokojny, we mnie mieszka dwóch ludzi. Urzędnik i światowiec. Teraz masz pan przed sobą światowca.

PARTYŃSKI: A zatem zwracam się do światowca, chodźmy stąd.

MĄDRZYCKI: Hola... nie tak prędko... Mamy mnóstwo rzeczy do powiedzenia sobie.

PARTYŃSKI: Boże drogi, Byle tylko nikt nie nadszedł.

MĄDRZYCKI (wskazuje by usiadł i sam siada): Proszę siadaj pan i słuchaj. Poznałem ją przed miesiącem u Przyjemskich.

PARTYŃKI: Kogo ją?

MĄDRZYCKI: Panią Krajecką... Kogożby? Nie udawajże pan.

PARTYŃSKI: Aha... (n. s.) Panią Krajecką? Kto to może być u diabła?

MĄDRZYCKI: Czy potrzebuję panu mówić o wdziękach tej powabnej wdowy, o jej młodości w 40-tym roku życia.

PARTYŃSKI: Nie, nie, niemów mi pan o tem.

MĄDRZYCKI: Zakochałem się.

PARTYŃSKI (łagodnie): W kim?

MĄDRZYCKI: W pani Krajeckiej. Nie udawajże pan ciągle dziecka.

PARTYŃSKI: Dobrze, dobrze.

MĄDRZYCKI: Zakochałem się bez pamięci, tak, jak zwykle się kochać w moim wieku. Ona nie odrzucała moich zabiegów, co spostrzegłszy, poprosiłem ją o rękę. — I cóż pan na to?

PARTYŃSKI: Uważam, że to całkiem naturalne.

MĄDRZYCKI: Byłem tego pewny. W takim razie nie będziesz pan miał przeciwko temu, żebym ją zaślubił?

PARTYŃSKI: Ja? Boże uchovej..

MĄDRZYCKI: I tego byłem pewny. Więc mogę pójść powiedzieć jej to?

PARTYŃSKI: Proszę bardzo...

MĄDRZYCKI (staje): Dziękuję ci hra-

bio. Do widzenia hrabio. (wychodzi).

PARTYŃSKI: Do widzenia. (sam) Myślałem, że się już nie odczepi.

HENRYK (wchodzi n. s.) Kto może czego potrzebować odemnie?

SCENA PIĄTA.

Partyński i Henryk.

PARTYŃSKI: Chodź, chodź prędzej. — Wiesz, kto wyszedł stąd przed chwilą? Sędzia Mądrzycki.

HENRYK: On? Widziałeś go?

PARTYŃSKI: Mało tego... Sam go przyjmowałem, jako hr. Marecki.

HENRYK: To się nazywa szczęście...

PARTYŃSKI: Przyszedł aż tu za mną. I zgadnij po co? Żeby mi opowiedzieć o swoich miłostkach.

HENRYK: Co takiego?

PARTYŃSKI: Wyobraź sobie, jest zakochany, ale to na zabój w jakiejś uroczej wdowie, jakiejś pani Krajeckiej.

HENRYK (niespokojny): Opowiadał ci o tem?

PARTYŃSKI: Szczegółowo.

HENRYK: A ty coś mu odpowiedział?

PARTYŃSKI: To, co każdy na mojem

miejsku byłby odpowiedział. Skoro ją pan kochasz, ożeń się z nią.

HENRYK: Tyś to powiedział?

PARTYŃSKI: Trzeba ci było widzieć, jak ci odszedł uradowany.

HENRYK: Idjoto! Bydlaku! Zakuty łbie! Zielona Małpo!

PARTYŃSKI: A ciebie co znowu napałdło?

HENRYK: Przecież pani Krajecka to moja teściowa.

PARTYŃSKI: Kolosalne! Ożeniłem się dziegie wściekłego, z twoją dobrą teściową.

HENRYK: Popatrz sam w coś ty mnie wpakował.

PARTYŃSKI: Dobrze ci tak... Mogłeś nie wstydzic się mnie i przedstawić swojej rodzinie, wtedy nie byłoby się tak stało. Zresztą mam już dosyć tego uchodzenia za ciebie.

HENRYK: I ja także.

PARTYŃSKI: Za 10 minut skończy się ta maskarada. Zobaczysz.

HENRYK: Idź... bo gotów jestem zrobić ci krzywdę.

PARTYŃSKI: Zobaczysz... (wychodzi).

HENRYK: Ładnie wyglądam. Co? Teraz się już z tego nie wygrzebię.

SCENA SZÓSTA.

Henryk, Krajecka, Mądrzycki, potem
Zofja i Franciszek.

KRAJECKA: Gdzież on jest? Niechże go uściskam... Ach mój zięciu... mój synu... moje dziecko... masz... (całuje go).

HENRYK: Co się mamie stało?

KRAJECKA: Stefan mi powiedział, że się już nie sprzeciwiasz naszemu połączeniu.

HENRYK: Mama się z nim widziała?

KRAJECKA: Jest z Zofją u mnie na górze, zaprosiłam go na objad.

HENRYK (n. s.): Coraz lepiej...

KRAJECKA: Otóż i on — (Mądrzycki wchodzi z Zofją).

HENRYK (n. s.): Odwagi... Niech dzieje się co chce.

MĄDRZYCKI (kłania się): Panie... (do Krajeckiej) Gdzie jest zięć pani, jeszcze raz chcę mu podziękować.

KRAJECKA (zdumiona): Mój zięć? Stoi przed panem.

MĄDRZYCKI: Pan?

HENRYK: Tak, panie... Jestem zięciem pani Krajeckiej.

MĄDRZYCKI (zdumiony): Pan? (oprzytomniał) Ach, zgaduję... (do Krajeckiej) Figlarka z pani.

KRAJECKA: Figlarka?

MĄDRZYCKI: To także ukryła pani przedemną.

KRAJECKA: Ukryłam? Nie rozumiem.

ZOFJA: Ani ja.

HENRYK: Ani ja.

MĄDRZYCKI (do Krajeckiej): Za pozwoleniem... przed chwilą przyznała się pani do jednego...

KRAJECKA: Jednego? Kogo?

MĄDRZYCKI: Zięcia... A widzę, że ma pani dwóch.

KRAJECKA: Dwóch zięciów? Nie panie... Mam tylko jednego, hrabiego Mareckiego tu obecnego.

MĄDRZYCKI: Jak? jak?

KRAJECKA: Hrabiego Mareckiego tu obecnego.

MĄDRZYCKI: Pan jest hrabia Marecki?

ZOFJA: Tak... to mój mąż.

MĄDRZYCKI: To nie może być.

KRAJECKA: Przecież przed chwilą prosił go pan o moją rękę.

MĄDRZYCKI: Prosiłem o rękę pani, ale nie tego pana.

HENRYK: Istotnie, ja po raz pierwszy mam zaszczyt widzieć pana.

KRAJECKA: Po raz pierwszy?

MĄDRZYCKI (do Henryka): Za pozwoleniem... Drogi panie, czy niema pan brata albo kuzyna tego samego nazwiska?

HENRYK: Nie.

MĄDRZYCKI: To nadzwyczajne...

KRAJECKA: Co to wszystko znaczy?

MĄDRZYCKI: To znaczy, droga pani, że przed dwoma miesiącami skazałem na 20 dni więzienia pana hrabiego Mareckiego.

ZOFJA: Co?

HENRYK: Jakie to jest śmieszne... (śmieje się).

MĄDRZYCKI: Ten pan był w kabarecie w loży z jakąś damą, swoją kochanką, kobietą z towarzystwa, która mieszka na prowincji, a której nazwiska nie wymieniono na przesłuchaniu. Pokłóciwszy się z policjantem o jakiś kapelusz, który mu zawadzał, ów pan spoliczkował tegoż policjanta, za co został skazany na 20-dniowy areszt i odsiedział go w zeszłym miesiącu.

ZOFJA: Ależ panie, w zeszłym miesiącu myśmy byli w Zakopanem.

HENRYK: Tak w Zakopanem.

MĄDRZYCKI: To jeszcze nie wszystko, przed trzema godzinami na własne oczy widziałem tegoż pana hr. Mareckiego, jak znowu policzkował na ulicy stróża bezpieczeństwa.

HENRYK: Jakto? na ulicy?

MĄDRZYCKI: To jeszcze nie wszystko.

HENRYK: Jeszcze coś?

MĄDRZYCKI: Przed chwilą tu w tym salonie, ten sam hrabia ofiarował mi rękę pani Krajeckiej.

KRAJECKA: Być nie może?

HENRYK: To niesłychane...

ZOFJA: Zdumiewające.

KRAJECKA: Więc dlatego miałeś taką zabawną minę Henryku, kiedy przyszedłam ci podziękować.

HENRY (żywo): Zauważyła to mama?—
(do Zofji) Zauważyłaś?

ZOFJA: Tu się coś kryje...

HENRYK: Albo ja wiem co to znaczy?

MĄDRZYCKI: Mnie się to wydaje bardzo proste. Pan, drogi panie, masz przyjaciela, który znalazł się w fałszywym położeniu.

a nie chcąc kompromitować własnego nazwiska, podał pańskie.

ZOFJA: Ależ to straszne...

KRAJECKA: To nikczemne.

HENRYK: Tak... to podłość...

MĄDRZYCKI: Ale bądź pan spokojny, kochany hrabio, my go znajdziemy, a skoro w moje ręce wpadnie — no... będzie się miał z pyszna, zapewniam pana.

HENRYK: Niestety, on się nie znajdzie, gdyż niema żadnej poszlaki.

MĄDRZYCKI: Tak pan sądzisz? Ah, jakież ja jestem roztargniony. Panie hrabio, zadzwoń pan na służącego.

HENRYK: Zadzwoń? a to po co?

MĄDRZYCKI: Zaraz pan się dowie.

HENRYK (n. s.): Co ten jamnik wygrzebał nowego. (dzwoni).

MĄDRZYCKI: Poznamy z miejsca tego, którego szukamy.

ZOFJA: W jaki sposób?

MĄDRZYCKI: W bardzo elementarny — zobaczy pani.

FRANCISZEK (wchodzi): Pan dzwonił?

MĄDRZYCKI: Słuchaj, kiedy tu przyszedłem, przed chwilą, zastałem któregoś z przyjaciół twego pana. — Odpowiadaj!

FRANCISZEK (radzi się spojrzeniem Zofji): Tylko że...

ZOFJA: Odpowiadaj!

FRANCISZEK: Tak panie.

MĄDRZYCKI: Jak się ten pan nazywa?

FRANCISZEK: Partyński.

Zofja i Krajecka: Partyński?

HENRYK: Cóż znowu? Partyński to kolega szkolny.

MĄDRZYCKI: Zaraz — Czy prócz niego nie było nikogo w mieszkaniu?

FRANCISZEK: Nie, panie.

MĄDRZYCKI: Dobrze, możesz odejść... (Franciszek wychodzi) Niema wątpliwości, kochany hrabio, człowiek, którego szukamy, to przyjaciel Partyński.

HENRYK: Ależ powtarzam panu, że Partyński to mój przyjaciel szkolny.

ZOFJA: Nigdy z nami o nim nie mówiłeś.

HENRYK: W ciągu 10-ciu lat szkolnych miałem przeszło 300 kolegów. Za Partyńskiego ja odpowiadam, nie byłby zdolny do czegoś podobnego, zapewniam pana, że na fałszywej jest pan drodze.

MĄDRZYCKI: Przekonamy się. Poznam go pomiędzy tysiącem. Elegancki mężczyzna, ciemno ubrany, szeroka broda.

SCENA CZWARTA.

Ciż, Franciszek, Partyński.

FRANCISZEK (anonsuje): P. Partyński.

HENRYK (n. s.): To bydle mnie dobije.

PARTYŃSKI (wchodzi ogolony, włosy ostrzyżone, ubrany w inny garnitur): Mój drogi Henryku... (spozrzega Mądrzyckiego, n. s.) Mądrzycki.

MĄDRZYCKI (okrzyk): Tam do licha... To nie on...

HENRYK (n. s. wesoło): Ogolony...

KRAJECKA: Co? To nie ten pań?

ZOFJA: Jest pan tego pewny?

MĄDRZYCKI: Jak najpewniejszy. Osoba, o której mówiłem, miała brodę, włosy i tamten był teższy.

HENRYK: Nie mówiłem? (przedstawia) Mój najlepszy przyjaciel Partyński, pani Krajecka, moja teściowa, hrabina Marecka, (ukłony) Pan sędzia Mądrzycki.

PARTYŃSKI: Czy nie prezes 9-tej izby?

MĄDRZYCKI: Ten sam?

PARTYŃSKI: Dużo słyszałem o panu.

MĄDRZYCKI: Bardzo mi miło.

ZOFJA (do Partyńskiego): Wybacz pan nasze dziwne zachowanie, ale szukamy wła-

śnie przyjaciela mego męża, który pod jego nazwiskiem siedział 20 dni w więzieniu.

PARTYŃSKI: Czy podobna?

KRAJECKA: Chwilowo podejrzewano pana.

HENRYK: Nie śmieszne to? — co?

PARTYŃSKI: Operetkowa farsa, słowo daję.

KRAJECKA: W tem wszystkim kryje się jednak jakaś tajemnica.

MĄDRZYCKI: Ale ja jej nie stracę. Poproszę prefekta o otwarcie ankiety względem każdego z pańskich przyjaciół.

PARTYŃSKI: Oprócz mnie?

MĄDRZYCKI: Rozumie się, pan jesteś poza konkursem.

PARTYŃSKI: Naturalnie.

MĄDRZYCKI: To jedyny sposób wyszukania winnego.

HENRYK: Jedyny, niema dwóch zdań.

ZOFJA: Podam panu nazwiska i adresy.

MĄDRZYCKI: Idę z panią. (do Henryka patrząc na p. Krajecką) Pragnę kochany hrabio, zdobyć prawo do twojej wdzięczności.— (wychodzi z Zofją na lewo).

KRAJECKA (do Henryka): Mam nadzieję, że wtedy nie odmówisz mu mojej ręki.

HENRYK: Zobaczmy, droga mamó... a powiedz Ludwice, żeby ususzyła ły. Nie jedziemy już do Egiptu, a za miesiąc odbędzie się ich ślub.

KRAJECKA: Biedactwo, to się ucieszy. (wychodzi).

HENRYK: Pocziwy Partyński, genjalną miałeś myśl z swym ogoleniem się.

PARTYŃSKI: Już mi się sprzykrzyło uchodzić ciągle za ciebie i patrz do czego doszedłem, chcąc odzyskać swoje ja.

HENRYK: Poświęciłeś swoją brodę.

PARTYŃSKI: Moją ładną brodę, którą ona tak lubiła.

HENRYK: Co za ona?

PARTYŃSKI: Walentyna. Czy też będzie mnie kochać bez tej brody?

HENRYK: Ależ tak, tak. Najważniejsza rzecz to, że Mądrycki cię nie poznał.

SCENA ÓSMA.

Ciz i Gwiżdż.

GWIŹDŹ (wchodzi pijany): Jak się masz Henryku?

HENRYK: Gwiżdż... W jakim stanie!... Gwałtu... Gdzieś ty był?

GWIŹDŹ: W knajpie z Kulikiem.

PARTYŃSKI (n. s.): Bajeczny okaz...

GWIŹDŹ: Przetrawiliśmy twoje dziesięć blatów. A teraz powiedz mi, gdzie jest twoja młodsza, chcę z nią pogadać.

HENRYK: Co? Idźne gdzieindziej wyparować twoje wino.

GWIŹDŹ: Gdzie młodsza? chcę z nią pogadać.

HENRYK: Gwiżdż, słuchaj no...

GWIŹDŹ (wrzeszczy): Idź mi zaraz po młodszą...

HENRYK: Ależ do pioruna...

GWIŹDŹ (siada przy stole i ryczy): Idź po pokojową...

HENRYK (do Partyńskiego): Niema sposobu porozumieć się z tym bydlęciem.

PARTYŃSKI: To także twoja wina, za szorstko obchodzisz się z nim. Z nim trzeba mówić łagodnie.

HENRYK: Mów z nim, proszę cię.

PARTYŃSKI: To wytworna natura.

GWIŹDŹ: Ja potrzebuję miłości...

PARTYŃSKI: Widzisz, on potrzebuje miłości. (do Gwiżdża) Przyjacielu, drogi przyjacielu...

GWIŹDŹ: A tyś kto? Po pierwsze, ja nie jestem twoim przyjacielem...

PARTYŃSKI: Ale ja jestem twoim, rozumieć twoje cierpienie.

GWIZDŹ: Gwiżdżę... Odstaw się, wstrętna facjata...

PARTYŃSKI: Słuchaj ty...

HENRYK: Dobrze ci tak, to cię oduczy od filantropji.

GWIZDŹ: Nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę pokojówki.

HENRYK (do Partyńskiego): Jak pozbyć się tego pijaka?

PARTYŃSKI: Żeby można otrzeźwić go jakoś?

HENRYK: Ale w jaki sposób?

PARTYŃSKI: Czekaj, jest coś... zaraz... mam na końcu języka...

HENRYK: Więc wystaw język i gadaj.

PARTYŃSKI: Poczekał trochę, zaraz sobie przypomnę.

HENRYK: Zaraz to będzie zapóźno, za-telefonuję do apteki.

PARTYŃSKI: Najlepiej.

HENRYK: Oh, ten Gwiżdż, ten Gwiżdż! (wybiega na prawo).

PARTYŃSKI (krzyk): Mam amoniak... To amoniak Henryku! (wybiega za nim).

GWIZDŹ: Co ten gada? wymyśla mi od amoniaków... Ja żaden amoniak. Jestem obywatel Gwiżdż!

SCENA DZIEWIĄTA.

Gwiżdż i Mądrycki.

MĄDRZYCKI (wchodzi): A teraz żywo do prefektury.

GWIZDŹ (zdziwiony): Ah, sędzia Mądrycki! Jak się masz mój prezesie?

MĄDRZYCKI: Co to jest?

GWIZDŹ: To, to, to, Gwiżdż jestem, któregoś skazał na 3 miesiące za wólcęgostwo.

MĄDRZYCKI: Prawda, poznaję cię.

GWIZDŹ: Jakże tam idzie?

MĄDRZYCKI: Co ty tu robisz?

GWIZDŹ: Tu? Ano, jestem u siebie.

MĄDRZYCKI: U siebie?

GWIZDŹ: A żebyś wiedział, że u siebie. Wiesz co? masz szczęście, że pijany, bo żeby nie to, wsadziłbym ci w futrynę. Tylko że ja jakem pijany, to dobry. Powiem ci w każdym razie mój stary, paskudnieś sobie postąpił z hrabią Mareckim.

MĄDRZYCKI: Z hrabią Mareckim?

GWIZDŹ: Moim dobrodziejem. Za coś ty go skazał na 20 dni?

MĄDRZYCKI: (n. s.) Ten zna winnego.

GWIŹDŹ: To chwata... Żebym miał siostrę, byłaby dla niego...

MĄDRZYCKI: Słuchaj przyjacielu. Wsiądziemy w automobil, zawieziesz mnie do hrabiego Mareckiego.

GWIŹDŹ: Do niego? Mój pocziwce, tyś widzę jeszcze bardziej urznięty jak ja... Przecież ty jesteś u niego... U niego staruszk...

MĄDRZYCKI: U niego tu?

GWIŹDŹ: To się wie... poznaliśmy się w kryminale.

MĄDRZYCKI (n. s.): Co to ma znaczyć? Czyżby prawdziwy i fałszywy hrabia Marecki był jedną i tą samą osobą?

GWIŹDŹ: Zrozumiałeś?

MĄDRZYCKI: Tak, tak...

GWIŹDŹ: Nareszcie...

MĄDRZYCKI (n. s.): Jakby to sprawdzić? Chyba tylko przez policjanta, którego spoliczkował w kabarecie... (spozstrzega fotografię Henryka na fortepianie) Jego fotografia... Już mam co mi potrzeba. (chowa do kieszeni).

HENRYK (wbiega): Jest amoniak... (n.s.) Razem?

MĄDRZYCKI: Kochany hrabio, zdaje mi się, że jesteśmy na drodze do prawdy.

HENRYK: Do prawdy? Co pan mówi?

MĄDRZYCKI: Do widzenia, kochany hrabio, do widzenia. (wychodzi na prawo).

SCENA DZIESIĄTA.

Henryk, Gwiźdź i Partyński.

HENRYK: Na drodze do prawdy... (idzie do Gwiźdza) Widziałeś się z Mądrzyckim?— Mówiłeś z nim?

GWIŹDŹ: Od serca.

HENRYK: Coś mu powiedział?

GWIŹDŹ: Wszystko...

HENRYK: Mówiłeś o kozie?

GWIŹDŹ: Naturalnie.

HENRYK: Nieszczęsny, zgubiłeś mnie...

GWIŹDŹ: Dlaczego?

HENRYK: Dlatego, że on opowie wszystko mojej żonie.

GWIŹDŹ: A prawda, ona nie wie, że ty byłeś w kryminale.

HENRYK: Mało tego, ale dowie się, że byłem w kabarecie z panią Mazanowską, jej najlepszą przyjaciółką, żem ją zdradził i będzie żądała rozwodu.

GWIŹDŹ (z rozpaczą): A niech to drzwi ścisną... A to ci bigos...

PARTYŃSKI (wchodzi żywo): No co? Wytrzeźwiłeś się?

HENRYK: Wyobraź sobie, że ten bydlak opowiedział wszystko Mądrzyckiemu.

PARTYŃSKI: Niech to wszyscy djabli...

GWIZDŹ (krzyczy): Zgubiłem mego dobrodzieja... Zgubiłem mego dobrodzieja...

HENRYK: Cicho! Nie drzyj się tak!

GWIZDŹ (krzyczy): Jestem ostatni łotr!

HENRYK: Na litość. wyprowadź go...

PARTYŃSKI: Ale gdzie?

HENRYK: Gdzie chcesz... do siebie, do piwnicy...

GWIZDŹ (wrywa się): Nie... nie pójdę... Gdzie twoja żona? Ja to nareperuję...

HENRYK: Nie trzeba, nie trzeba...

GWIZDŹ (krzycząc): Nareperuję ,powiadam! (wrzeszcząc) Henryku!!

PARTYŃSKI: Chodź, chodź! (wyciąga go na prawo).

GWIZDŹ (rycząc): Jestem ostatni łajdak, zhańbiłem łono mojej matki! (wychodzi z Partyńskim).

SCENA JEDENASTA.

Henryk, Zofja, Partyński.

HENRYK: Uff... A teraz trzeba zmykać przed powrotem tego piekielnego Mądrzyckiego. Ale gdzie? Egipt jest za blisko... Do Ameryki... (bierze rozkład jazdy).

— 120 —

ZOFJA (wchodzi): Co ja się dowiedziałam od mamy? Nie jedziemy już do Egiptu?

HENRYK: Ale jedziemy do Ameryki.

ZOFJA: Do Ameryki?

HENRYK: I to natychmiast...

ZOFJA: Henryku, ty żartujesz?

HENRYK: Nie mówiłem nigdy bardziej serjo...

ZOFJA: Na długo?

HENRYK: Na całe życie.

PARTYŃSKI (wraca żywo): Gwizdź mi się wymknął.

HENRYK: Niezdara...

PARTYŃSKI: Kiedyśmy się znaleźli na na ulicy, kopnął mnie jak krowa i zdaje się, że wdarł się napowrót do twego mieszkania.

HENRYK: Do mego mieszkania? Więc ja już nigdy nie pozbędę się tego bydlaka?

PARTYŃSKI: Popatrz po pokojach, ja wyjdę na schody. (wybiega na prawo, Henryk wybiega w głąb).

SCENA DWUNASTA.

Zofja, Walentyna, Gwizdź, Henryk.

ZOFJA: Biedny Henryk, zaczyna się znowu awanturować.

WALENTYNA (wchodzi z prawej): Zofjo, jesteś gotowa?...

— 121 —

ZOFJA: Walentyna...

WALENTYNA: Przyszedłam po ciebie. —
Miałyśmy iść do twojej krawcowy. Jeszcze
nie jesteś ubrana?

ZOFJA: To nie moja wina... Żebyś ty wie-
działa, co się u nas dzieje od godziny...

WALENTYNA: Cóż takiego?

ZOFJA: Wyobraź sobie...

GWIZDŹ (wpada):.. Pani Henrykowo...
pani Henryko...

ZOFJA: Pani Gwiżdż...

GWIZDŹ: Słuchaj, żono mojego dobro-
dzieja, nic im nie wierz... Słyszysz... Nic im
nie wierz...

ZOFJA: Komu?

GWIZDŹ: Tym, coby ci gadali, że Henryk
był w kabarecie z panią Mazanowską.

ZOFJA (z okrzykiem): Z panią Mazanow-
ską...

WALENTYNA (n. s.): Ah!...

GWIZDŹ: Będą łąać — ale im nie wierz,
słyszysz?

HENRYK (wpada szybko): Gwiżdż tutaj?

GWIZDŹ: Zostaw mnie Henryku, ja na-
prawiam...

HENRYK: Wyniesiesz ty się stąd?

GWIZDŹ: Naprawiam, mówię...

HENRYK: A ja mówię chodź... (wypro-
wadza go siłą na prawo).

ZOFJA: Zatem pani X to byłaś ty?

WALENTYNA: Nie rozumiem o czym
mówisz?

ZOFJA: Rzeczywiście?

WALENTYNA: Ten człowiek jest pija-
ny, sam nie wie co mówi.

ZOFJA: Więc dla czego się zmieszałaś?

WALENTYNA: Ja? Bynajmniej.

ZOFJA: Dlaczego się zaczerwioniłaś kiedy
wymówił twoje nazwisko?

WALENTYNA: Zapewniam cię, że nie
rozumiem.

ZOFJA: Nie rozumiesz? Ale ja rozumiem.
Jedno tylko, co dziwi mnie w tem wszystkim,
to to, że nie zrozumiałam wcześniej. Zaczy-
nam też rozumieć ten dziwny stan Henryka.

WALENTYNA: Tylko nie myśl czasem,
że ja z nim byłam w kabarecie.

ZOFJA: Więc przyznajesz się nareszcie,
że tam byłaś?

WALENTYNA: A więc tak.

ZOFJA: I to z nim... przyznaj się...

WALENTYNA: Nie... nie... nie z nim...

ZOFJA: Więc któż jest ten pan, który
przybrał nazwisko mego męża?

WALENTYNA: To... to...

ZOFJA: Nie sil się nadaremnie..

WALENTYNA: Zofjo, przysięgam ci...

ZOFJA: Tak? Zaraz się przekonamy —
wejdź tam na chwilę. (swkazuje na lewo) i nie
wychodź, aż cię zawołam.

WALENTYNA: Tylko że...

ZOFJA: Że co? Boisz się?

WALENTANA: Czegoż miałabym się
bać?

ZOFJA: Więc wejdź.

WALENTYNA: Dobrze. (wychodzi).

ZOFJA: Poczekaj kochaneczko, nie wyj-
dziesz stamtąd, dopóki nie zobaczę się z mę-
żem.

KRAJECKA (wchodzi): Mądrzycki nie
wrócił jeszcze?

ZOFJA: Mamo, zdaje mi się, że niema
już słowa zagadki.

KRAJECKA: Niepodobna...

ZOFJA: A wiesz ty, co się zyskuje na od-
gadnięciu? — Rozwód!

KRAJECKA: Rozwód? Co ty wygadujesz
z jakimś rozwodem?

ZOFJA: To wygaduję, że pani X nazywa
się Walentyna. A łobuz, który był z nią w

kabarecie, to twój kochany zięć, w własnej
osobie. Ot co wygaduję... (wychodzi).

SCENA CZTERNASTA.

Krajecka, Mądrzycki, Henryk, Partyński,
Zofja i Walentyna.

KRAJECKA: Henryk? Cóż znowu... to
jest niepodobieństwem.

MĄDRZYCKI (z prawej): Moja droga
przyjaciółko, zięć pani zadrwił sobie z ciebie,
z żony, ze mnie, ze sprawiedliwości.

KRAJECKA: Skąd pan to wie?

MĄDRZYCKI (pokazuje fotografię Hen-
ryka): Poznał go policjant, któremu dał poli-
czek w kabarecie.

KRAJECKA: A łotr!...

HENRYK (wchodzi n. s.): Zaprowadzi-
łem go do Partyńskiego.

KRAJECKA (do Henryka): Nieszczęsny!

HENRYK: Co?

MĄDRZYCKI: Mój panie, żebyś nie
wiem jak ukrywał prawdę, ona zawsze wyj-
dzie na wierzch. Człowiek z kabaretu to pan...

HENRYK (z siłą): Nigdy...

MĄDRZYCKI: Policjant poznał pana.

HENRYK (bierze fotografię i rzuca na
fortepian): A więc tak... Brak mi sił do dal-

szej walki... to byłem ja... A kozę kazałem odsiedzieć za siebie komu innemu.

MĄDRZYCKI (tryumfująco): Aha!...

HENRYK: Ale jeżeli pan powiesz choć jedno słowo mojej żonie... zastrzelę pana i nie dam ci ręki mojej teściowej.

KRAJECKA: Mój kochany, Zofja domyśliła się wszystkiego i chce się rozwieść.

HENRYK (usuwa się na krzesło): Ach Boże... tego się tylko obawiałem.

PARTYŃSKI (wchodzi): O cóż jeszcze chodzi?

HENRYK: O to, że ognisko moje domowe zgaszone, w puch rozbite, o to, że Zofja wie już o wszystkim...

PARTYŃSKI: Psia robota... A pocóżes ty jej to wszystko powiedział?

HENRYK: To nie ja... sama odgadła...

PARTYŃSKI: Miljon djabłów...

ZOFJA (wchodzi—do Henryka): Ah... jesteś pan...

HENRYK: Zofjo — to nie...

PARTYŃSKI: Przepraszam, nie pozwolę dłużej na to, żeby niewinnie oskarżano człowieka z mojej przyczyny...

WSZYSCY: Co?...

PARTYŃSKI: Ja podałem nazwisko męża pani.

HENRYK (n. s.): Pocziwy...

ZOFJA (z niedowierzaniem): Pan? pan?

HENRYK (udając gniew): Jakto ty? To byłeś ty?

PARTYŃSKI: Ja...

HENRYK (j. w.): Oh!...

PARTYŃSKI: A jeżeli pan sędzia Mądrzycki nie poznał mnie w danej chwili to dlatego, że chcąc zmylić poszukiwanie, poświęciłem moją brodę. (wyjmuje fotografię z kieszeni) Oto moja fotografia, kiedy byłem piękny.

MĄDRZYCKI (patrzy na fotografię):— Istotnie pani, to był on...

PARTYŃSKI: Teraz poznaje mnie.

HENRYK (j. w.): Więc to ty byłeś w kabarecie?

PARTYŃSKI: Tak...

ZOFJA: Z panią Walentyną?

PARTYŃSKI (n. s., patrząc na Henryka): Kanalja...

ZOFJA: Odpowiadaj pan...

PARTYŃSKI: Tak, pani...

ZOFJA (do Henryka z wybuchem): Biedaku ty mój...



(Walentyna wchodzi z lewej)

HENRYK: Kiedy pomyślę, że ty mogłaś przypuszczać...

ZOFJA (do Walentyny): Ciebie też przepraszam, droga przyjaciółko, że śmiałam posądzać cię. Teraz już wiem, że to był pan... (wskazuje na Partyńskiego).

WALENTYNA: Pan?

ZOFJA: Pan Partyński.

WALENTYNA (okrzyk): Ogolony... Jak że on zbrzydł...

PARTYŃSKI (n. s.): To korona wszystkiego.

HENRYK (do Mądrzyckiego): Widzisz drogi teściu, że wszystko samo dobrze się ułożyło.

MADRZYCKI (po cichu): Tak, ale na przyszłość radzę panu chodzić prostą drogą, bo we mnie znajdziesz pan nie teścia...

HENRYK: Tylko?

MADRZYCKI: Teściową...



Biblioteka Główna UMK



300043335330

340781

Biblioteka Główna UMK



300043335330

340781

